

Biblioteka  
Instytutu Studiów  
Literackich PAN

P. II. 428

# NURT

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE POLSKIEJ



NR III  
CZERWIEC  
1943

TREŚĆ:

1. KOPERNIK Z NAMI
2. UNIEPOTRZEBNIENIE MĘCZEŃSTWA
3. PRZED POMNIKIEM POETY
4. NAD RZEKĄ
5. DO SYNA PROŚBA
6. NA CZYM BĘDZIEMY BUDOWAĆ
7. TEMPERAMENT I SEPY
8. PRZEZ DWIE GRANICE
9. SPOJRZENIA
  - a) Jaskółki
  - b) Nowa Europa
  - c) Czasy pogardy
  - d) Anegdota Copernicana
  - e) Kopernik i bolszewicy
  - f) Etykieta
  - g. Coventrisieren





# NURT

PISMO POŚWIĘCONE  
KULTURZE POLSKIEJ

Rok I

Czerwiec 1943

№ 3

## KOPERNIK Z NAMI

... ażeby święta sprawiedliwość nie była tamowana.

Mikołaj Kopernik w liście do kapituły warmińskiej.

Czterechsetna rocznica śmierci Kopernika przypadła na czas, kiedy jedynym publicznym hołdem społeczeństwa polskiego mogło być złożenie wieńca u stóp thorwaldsenowskiego pomnika, co jeden z młodych uczestników tej manifestacji przypłacił życiem. Kultura, jak wszystko, co wzniosłe i wielkie, wymaga świadków: martyroi zwali się oni po grecku. To też zaświadczona tu, a w czerwonym refleksie krwi rozlanej na warszawskim bruku, obecność Kopernika wśród nas, w czterysta lat po jego śmierci, nabrała jakichś innych, nie fachowo astronomicznych i nie naukowych aspektów. Bo krwawy ten hołd, to jedna z kart wielkiego procesu, który nie dziś się zaczął, a już za dni Kopernika w pełnym był toku. I jeśli dzieje i ich fascykuły nie kłamią, te same aspekty towarzyszyły obecności Kopernika wśród nas, kiedy jeszcze żył i stapał po tej ziemi. Sprawa zaiste godna zastanowienia,

Gdyby zastygłe oczy pomnika, który przed z górą wiekiem zasiadł na Krakowskim Przedmieściu, mogły być ujrzyć tę krew śmiertelnego homagium, może wdrygnęłoby się brązowe ciało wielkiego gwiazdziarza, ale myśl pobiegłaby wstecz i przypomnieliby, iż nie pierwsza to krew niewinnie rozlana, jakie dane było ujrzyć tym żywym jeszcze oczom, że krwi tej i nędzy i pohańbienia widziały one kiedyś niemal równie wiele, co jest ich dziś, czasunajstraszliwszej dziejowej zawieruchy. Przypomnieliby myśl Kopernika dawne protestacje kanonika warmińskiego przeciwko krwawym bezprawiom panów z czarnym krzyżem na płaszczach, przeciwko przemocom i zdradom dawnych mistrzów i komturów, przeciwko temu wszystkiemu złu i wszystkim zbrodni, na które patrzeć musiały te oczy, gdy serce odzęgnywało się od krzyżackiej niktzemości i gwałtu, „ ażeby święta sprawiedliwość nie była tamowana.” Gdyby zastygłe oczy mogły być ujrzyć tę krew na wieńcu składanym mu w hołdzie, poczuły się spizowy posąg znów żywym, jak przed wiekami, wśród swego ludu, z którym się związał którego bronił i dla którego pracował, ludu, który jeśli nawet nie był jego ludem z przyrodzenia — choć było inaczej — to był nim z jego swobodnego wyboru, z moralnej powinności i z miłości.

Sprawa przynależności narodowej Kopernika

czasem przystąpiła nam nawet genialność jego myśli. Nie wynikało to jednak z jakiejś polskiej zaściankowości. Coś innego, coś znacznie głębszego tkwiło na dnie tego „sporu,” w którym ze strony niemieckiej wytaczano od tak dawna już ulubione argumenty etniczne i „rasowe.” W niemieckiej prawowiernej interpretacji, narodowość jest czymś w rodzaju nieuchronnej pułapki, w którą wpędza człowieka sam fakt urodzenia, uwalniający od wszelkich rozstrząsań na ten temat; zapomniano, że jeśli dziś u ogółu jest tak nawet, to niezawsze tak dawniej bywało i nie do każdego człowieka to prawo automatyzmu narodowościowego da się zastosować. Królowie są tego klasycznym przykładem. Jeśliżby nawet Kopernik urodził się był Niemcem, jak chcą germańscy jego biografowie, to nie znaczy jeszcze, że nim on był istotnie. Narodowość nie była i nie mogła być dla Kopernika takim nieodwołalnym przeznaczeniem, szczególnie w tych historycznych warunkach, w jakich przyszło mu żyć; była ona, zwłaszcza wówczas, sprawą postanowienia, dobrowolnego związania się z daną społecznością, uwarunkowanego całym stosom motywów moralnych, etycznych, uczuciowych, które dopiero rozstrzygały o narodowej przynależności. I nie mogło być inaczej w czasach względnie jeszcze żywej tradycji panchrześcijańskiej. Kiedy dusze orientowały się zasadniczo raczej drogowskazami cnót niebiańskich i religijnych uniesień, a przynależność narodowa była w Europie mimo wszystko czymś drugorzędnej jeszcze natury; sprawa narodowości była wtenczas także, a niejednokrotnie przedewszystkim sprawą rozstrzygnięć o moralnym i etycznym charakterze, sprawą rzeczy można wolnego wyboru duszy.

Jeśli w one dni zachodzącego średniowiecza tak się rzecz przedstawiała u zwykłego nawet śmiertelnika, to cóż dopiero u człowieka na miarę fidiaszową, jakim był Kopernik? Względy moralnej i etycznej natury musiały wogóle, a w tej sprawie w szczególności odegrać nieporównanie większą rolę, niż u innych, gdzie rozstrzygał automatyzm. Wielcy mężowie — mniejsza, astronomowie czy rzeźbiarze — nie są tylko znakomitymi sztukmistrzami swej dyscypliny, w pewnym znaczeniu „amoralnymi” i obojętnymi na zło i dobro, ale jeśli naprawdę są ludźmi, są istotami o moralnych namiętnościach i dopiero gdy ten ich zmysł moralny znajduje zaspokojenie, mogą oni poczuć się całkowicie w wielkiej wspólnocie etnicznej, stając się emanacją jej najgłębszej duchowości, symbolem jej najwewnętrzniejszej treści, krwią z krwi i myślą z myśli danego narodu. Patos moralny jest funda-



mentem ich wielkości i ich postanowień, a jeśli jest tak i dziś, to w większej jeszcze mierze być tak musiało w czasach, kiedy te orientacje moralno-etycznej natury, zespolone z religijnym pojmowaniem świata, wysuwały się na plan pierwszy.

O przynależności tych ludzi do tej czy innej społeczności nie mogło rozstrzygać to tylko, że matka była z domu Watzenrode, ale przede wszystkim to, z czym się czuli duchowo związani, po czyjej stronie opowiedzieli się w walce z nieprawością świata, kogo, głosząc swą prawdę i tworząc swe dzieło wrażli i tłumaczyli. Kwestię narodowości Kopernika można rozważać tylko na tej płaszczyźnie i w tym zespole spraw, szczególnie gdy przyjmie się korekturę czasów w jakich żył, kiedy pojęcie to bynajmniej nie miało jeszcze mechanicznego charakteru dzisiejszej statystyki narodowościowej, ale było jeszcze czymś niegotowym, stającym się dopiero, lecz tymbardziej żywym. Narodowość była wówczas w znacznej mierze „narodowością z wyboru”, z postanowienia, z miłości. Przed takim wyborem stanął też niewątpliwie Kopernik: z kim miał się utożsamiać? Czy z mówiącymi językiem jego matki Krzyżakami i ich światem, czy też z narodem Najjaśniejszego Królestwa Polskiego, Rzeczypospolitej wolnych ludów, która z tymi „l'rones” od wieków już była w śmiertelnej zwadzie?

Niemal już i tak łączyło go z Polską, a związki jego z Matką — Rzeczpospolitą były przynajmniej równie liczne jak te, które wiązały go z niemieckimi krewiakami i niemiecką kulturą. Jako potomek rodziny niewątpliwie polskiego, ze Śląska, pochodzenia, o czym świadczy samo już jego nazwisko, blisko spowinowacony z rodzinami Kono-packich, Działyńskich, Czapskich i innymi, przyszedł na świat w Toruniu, na polskiej od wieków ziemi. Potym szkoła w Włocławku, nawet pobyt w Prusach, gdzie lud w ogromnej swej większości był polski, wreszcie uniwersytet krakowski — wszystko to utrzymywało go w kręgu życia polskiego. Krakowskiej Alma Mater i znakomitemu jej profesorowi i astronomowi Wojciechowi z Brudzewa zawdzięcza pierwsze wtajemniczenia w gwiazdy i miłość nieba, które, jak powiadał mistrz młodego Mikołaja, „Bóg niby namiot gwiazdzisty rozciągnął nad głowami ludzi.” Tu, z polskich rąk, odbywa się wielka inicjacja, tu wydaje Kopernik swą pierwszą książeczkę, na której tytułowej karcie widnieje wspariały przedrygmuntowski Orzeł polski, skojarzony z Pogonią. Tu zawiera przyjaźnie i znajomości, które przetrwać miały całe życie: z Marcinem z Szadka, z Wapowskim, z Dantyskiem, co także Pruthenus był i Pelonus zarazem. Potym wyjazd do Włoch, gdzie w Bolonii zapisuje się do nacji (uniwersyteckiej) polskiej choć w Padwie było inaczej — potym powrót do ojczyzny, i odtąd już nieustanny i żywy udział we wszystkich sprawach polskich związanych z ziemią: warmińską („ongis nasza, będzie znowu nasza,”) ciągle rozjazdy do Krakowa, Piotrkowa na sejmy i zjazdy, ciągły i żywy kontakt z dworem „Najjaśniejszego i najmłodszejszego władcy, króla i pana łaskawego,„ jak go Kopernik tytułuje. Przychodzi wreszcie czas, kiedy Kopernik staje się główną osobą i niemal ostoją polskiej racji stanu na Warmii — czyż trzeba więcej faktów, by udowodnić, jak bardzo on był związany z Polską i jak dobrym był on obywatelem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej?

Niemal natomiast ani jednego dokumentu, ani jednej wzmianki, którąby mogła świadczyć o jakiejś niechęci Kopernika do Polski, o jakimś nieprzychylnym jego nastawieniu, gdy to, co pozostało, dowodzi ponad wszelką wątpliwość, jak wrogim było jego ustosunkowanie do apostołów niemiecczyzny na Warmii, do Krzyżaków. To o nich myśląc pisał do kapituły warmińskiej one wiele mówiące słowa, które chciał koniecznie, by znalazły się w liście do Wielkiego Mistrza Krzyżaków: ażeby święta sprawiedliwość nie była tamowana! Wiedział, komu należy przypominać tę podstawową zasadę życia społecznego. Co się zaś tyczy języka to równie pewnym jest, że mówił po polsku, jak to, że memoriały swe dla sejmików pruskich pisał po niemiecku, pisał je bowiem dla mówiących po niemiecku wyższych stanów pruskich. Zresztą można by tu zastosować to, co historyk niemiecki Guedemann pisze przy innej sposobności i w innej sprawie: „gdyby chciało się według tej właściwości (języka) określać narodowość, trzeba by wszystkich nadreńskich i frankońskich uczonych między 11 a 13 wiekiem, których tradycyjnie uważa się za Niemców, uznać za Francuzów.” Dalej zaś: „...innych jeszcze, ba, niemal wszystkich nadreńskich uczonych trzeba uznać za Francuzów, gdyby używanie języka francuskiego rozstrzygało o przynależności narodowej, ale byłoby to równie niewłaściwe, jakgdyby polskich, w Polsce urodzonych uczonych 15 i 16 stulecia dlatego tylko zrobić się chciało Niemcami, że posługiwali się językiem niemieckim, nie mówiąc o innych niewłaściwościach, do których doprowadziłoby w końcu użycie tego kryterium.” Nie należy bowiem zapominać, że język jak i przynależność państwowa w średniowieczu inną miały wymowę i inną treść wiążącą, niż dziś.

Kopernik był więc tak gente Pruthenus, jak niedługo potym Orzechowski był gente Ruthenus, ale nazione Polonus, tymbardziej, że pojęcie Polska było wówczas jak najmocniej związane z pojęciem państwowości, a państwowość, w której Kopernik żył i działał, której wiernie i wytrwale służył, nie była ani krzyżacka, ani Rzeszy niemieckiej, ale — tego już najzagorzalszy zwolennik „rasowej” niemieckości Kopernika nie zaprzeczy — tylko i jedynie polska. Nie należy tego momentu związania pojęcia narodowości z państwem lekceważyć. Było ono zazwyczaj dla oznaczenia ówczesnego oznaczenia „nacji” decydujące. Wszak jeszcze na początku XIX wieku pisał Staszic, gdy nie stało już państwa polskiego: „my, ongiś Polacy”; jeszcze wówczas tak mocno wiązała się narodowość z państwowością, że nawet w mazurku Dąbrowskiego, który jest chyba dość polskim, słyszymy, że „będziem Polakami,„ jakgdyby żołnierze — tułacze z Włoch i z pod piramid Polakami już czy jeszcze nie byli. Jeśli tak myślaro w legionach polskich pod koniec wieku ośmнадцatego, to o ileż miarodajniejszym był ten sposób myślenia dla końca wieku piętnastego i początku szesnastego! Miano „Polonus,„ przybierane często przez artystów i uczonych polskich, działających w obcym środowisku, zagranicą, oznaczało dlatego i nie tę demonstrację uczuć patriotycznych, ile prosto stwierdzenie, iż jest się polskim obywatelom lub pochodzi się z Polski. Kopernik tego określenia przy swym polskim nazwisku nie umiezczał, żył bowiem i umarł na swej ziemi, nie na obcej, w Polsce. Że był „Polonus,„ tego podkreślać nie pot e-



bował. Wszystko to przytoczono tu nie dla „dowodu” polskości Kopernika, ale dla przypomnienia faktów, dla stwierdzenia, jak bardzo był związany Kopernik z ówczesnym życiem polskim. Być może nawet, że zapytany o swą „narodowość” w ściślejszym tego słowa znaczeniu, odparłby, że „Pruthenus sum,” wszak tak gorąco mówił swą bliższą ojczyznę, Warmię i Pomorze być morze, że nad kołyską jego nie polska rozbrzmiewała mowa: ale dla narodowości Kopernika nie mogło być to czymś rozstrzygającym, szczególnie gdy się zważy, co wówczas pod mianem narodowości się kryło. Inne, ważniejsze momenty były tu rozstrzygające, gdy o sprawę narodowej przynależności Kopernika chodziło.

W owe czasy sytuacja na Pomorzu i Warmii przypominała sytuację z jakiejś klasycznej tragedii: dwie moce, zła i dobra, zmagają się walcząc o władztwo. Rola czarnego charakteru przypadła tu niewątpliwie Krzyżakom, tym oficjalnym przedstawicielom niemieckości, którzy podczas urodzin Kopernika zaczęli już zbierać owoce swej wielowiekowej polityki przemocy i gwałtu. Antagonistą ich w tym dziejowym widowisku stała się Polska, u której szukały schronu zarówno miasta pruskie pomorskie, jak i cały kraj. Wracająca ta ziemia do Polski po wiekowym rozstaniu nie dlatego, że ją polskim zagarnięto żelazem, ale dlatego, że w Najjaśniejszym Królestwie Jagiellonów mieszkańcy Prus i Pomorza szukali i znajdowali wybawienie od piekielnych mocy. wcielonych w „prześwięty” Zakon.

Czym zaś był ów zakon krzyżacki w owych czasach, że był on zaiste potęgą z piekła rodem, o tym dokładnie wiedzieli historycy, studiujący tą epokę, gdy ogół nasz skłonny był raczej ich niecnosć i barbarzyństwo uważać za „lekką przesadę” i trochę za legendę. Ale barwy, których użył Sienkiewicz w swej powieści, by odmalować duchowe oblicze zakonu, nie były bynajmniej zbyt jaskrawe, przeciwnie, raczej za blade. I dopiero teraz, gdy odrodzone przenośnie i dosłownie, krzyżactwo runęło w swym niszczycielskim pochodzie na ziemię polską i od kilku lat na niej gospodaruje, ogół jest w stanie zrozumieć, czym było krzyżactwo wówczas, gdy czyniło swe „krzyżowe wyprawy na Prunę, Pomorze, na Litwę, a nawet na samą Polskę, która ich tu przeciwieście usadowiła i przychołubiła. Jedną z najkrwawszych i najstraszliwszych do kart naszych dziejów. Te same metody gwałtu i mordów, wysiedleń i bezprawia stosowało ono wówczas, jakie nowoczesne krzyżactwo stosuje u nas dziś, ten sam krzyk, iż ono tylko reprezentuje „kulturę zachodu” wobec barbarii wschodu, podnosiło ono wówczas z patosem dzisiejszych Goebelsów, mobilizując nieświadomą prawdy zachód przeciw Polsce i jej sąsiadom, jak to czyni — choć z nieporównanie gorszym skutkiem — i dziś. Ta sama butna złość i perfidia, które pozwalają dziś utajonym i jawnym czcicielom Wotana głosić, iż bronią zagrożonego ci racjonalizmu, znacznym każde poczynanie krzyżackie, kończące się mordowaniem bezbronnych lub uprowadzaniem w straszliwą niewolę, grabieniem i pożogą nawet domów Bożych. Tak prowadząc swe dzieło „krzyżowe,” potrafili oni stworzyć w ciągu wieków te tradycje rozboju i wytracenia, które w idei i praktyce przejęte zostały już najpóźniej przez hitlerowskie Niemcy, ci rycerze krzyża Chrystusowe-

go, których raczej znaczyć powinna była swastyka, ów „krzyż spługawiony,” jak mówi o niej popularne prorocstwo dzisiejsze. Niedarmo prof. Foerster z krzyżactwa wywodzi ducha i literę dziejów pruskich, a z tym i dziejów nowoczesnych Niemiec, których powolną ewolucję w ciągu 19-go wieku określa jako stopniowe ale stale postępujące sprzeczanie duchowe kraju J. S. Bacha i Goethego, zakończone, narazie przynajmniej, emanacją ewangelii gwałtu i barbarii, hitleryzmem. Na miejsce dawnych, jak chce prof. Foerster uniwersalistycznych ideałów „cesarstwa rzymskiego” wprowadzono nowe ideały tępego, jakże tępego sobkostwa i krwawej brutalności, i ideały te, wiodące się w prostej linii z krzyżackiej moralności, uczyniono ideałami Trzeciej Rzeszy. Tacy byli wówczas Krzyżacy, jakimi widzimy dziś ich potomków w ohydnych mundurach partyjnych, ze swastyką na czole i ręku, depczących z okrucieństwem i brutalnością iście krzyżacką ziemię polską. I do nich miał się przyznać, za nimi miał się opowiedzieć Niemcem się uznając — Kopernik? Im miał służyć ten, któremu nade wszystko na sercu leżała „święta” sprawiedliwość,” którą tak namiętnie podkreślał we wspomnianym liście, gdyż sprawę onej sprawiedliwości uważał może za ważniejszą nawet, niż swe kosmoburcze myśli o gwiazdach? Nie, tego uczynić nie mógł, nie chciał i nigdy też nie uczynił.

Sprawa „narodowości z wyboru” — jeśli tak ją u Kopernika postawimy — nie wyda się więc tylko czczą konstrukcją, gdy się ją ujrzy w klimacie owych czasów, jeśli przynależność narodowa mistrza Mikołaja nie została już przedtem inaczey rozstrzygnięta, to Kopernik stanął i stanąć musiał przed dylematem: czy jest on „jednej krwi” z piekielnym krzyżactwem, czy też z tymi, z którymi wiązała go już państwowość a łączyły żywe stosunki rodzinne i przyjacielskie a nawet gorące uczucie, jeśli za jego wyraz uznać choćby ton listów, pisanych do stóp polskiego tronu. Ze więc motywy moralnej natury musiały tu odgrywać decydującą rolę i rozstrzygać o postanowieniu — jeśli go jeszcze było potrzeba — i o poczuciu narodowej i społecznej przynależności Kopernika, to chyba nie może ulegać wątpliwości.

Ze zaś z drugiej strony Kopernik, wciągnięty w krąg życia polskiego, czuł się dobrym i więcej niż dobrym obywatelem Najjaśniejszego Królestwa Polskiego, to uważać można za pewnik. Dokumenty świadczą o tym dowodnie. Jeśli zaś tak było, to miało to swe przyczyny nie tylko w mechanicznej, rzekiby ktoś przynależności państwowej, ale przede wszystkim we wspaniałej i wielkodusznej atmosferze kulturalnej, jaką zdołała wytworzyć ówczesna Polska.

Przeciwstawieniem ponurego egoizmu krzyżackiego, niosącego na ostrzu miecza gwałt i niewolę, była bowiem Polska tych dni, która w okresie więcej niż wiekowym, od Horodła, stworzyć zdołała inny, diametralnie przeciwny krzyżactwu ideał państwowy i przemienić się w wielką Matkę Narodów, gdzie pod opieką ze skrzydła schronili się Litwini i Rusi, Mołdawianie i narody wschodu, a w końcu sami „Prutheni,” Prusacy, w lwej części niemieckim posługujący się językiem, którym obmierzało już hitlerowskie państwo krzyżactwa i za Polską i jej królem się opowiedzieli, wypowiadając posłuszeństwo zbrojeckiemu zaknawci. Z dzikiego i żarłocznego egoizmu, jakiemu hołdowali ci duchowi prekursorzy dzisiejszych zbi-



rów Trzeciej Rzeszy. w Polsce nie było ni śladu: przeciwnie, kancelaria królewska ruskie pisma ślala do ruskich ziem, szanowano odrębności kulturalne, religijne i językowe, i nigdzie może na zachodzie humanizm i humanitaryzm nie były tak świetnie reprezentowane w ustroju państwowym, jak tu właśnie, w wielkiej polskiej Rzeczypospolitej.

Dłatego serca poddanych Jego Królewskiej Polskiej mości chętnie skłaniały się przed jego wysokim majestatem. wiedząc, że król najmiłociwszy nie rządzi batem i kaźnią, jak to czyniono z królewskiego burgu, ale miłością i wyrozumieniem wszystkich zebranych dokoła tronu ludów. Nieprzebity mur moralny wznosił się pomiędzy Polską Jagiellonów, łagodną macierzą ludów, a zakonnymi ziemiami „sasiadów,” jak nazywa Kopernik Krzyżaków, nieobeschłymi jeszcze dobrze od krwi wylanej tu z wytepionego do szczytu, wymordowanego, wytrzebionego bezlitośnie ludu Prusów gdzie wciąż jeszcze hasał mord i gwałt jako jedyne metody utrzymania krzyżackich rabów w posłuszeństwie. Owi „latrones,” na których skarży się Kopernik w liście redagowanym przez niego w imieniu kapituły, reprezentowali właśnie pruski system rządzenia, jakże daleki — bez cienia idealizacji i przesady stwierdzić to należy — polskiemu ówczesnemu wladaniu, któremu jeśli co zarzucić było można, to chyba zbytnią łagodność i umiarkowanie w stosowaniu środków politycznej i prawnej egzekutywy.

Nic więc dziwnego że w tych warunkach sprawa uznania swej przynależności narodowej — przy ówczesnych jeszcze kryteriach narodowości — mogła, szczególnie w warunkach pruskich, być kwestią wyboru, opowiedzenia się czy to po stronie onych „latronów,” czy też po stronie żyjących w swobodzie i uszanowaniu prawa Polaków, obywateli królestwa polskiego, jeśli Kopernik, raz to jeszcze podkreślił, wybierać wogóle potrzebował. Jeśli jednaka tak było, to nie ulega wątpliwości, iż wybór wielkiego Mikołaja padł na Polskę: stanął po polskiej stronie. Całe jego życie był wierną służbą Rzeczypospolitej, Matce Ludów, a jednym wielkim i głośnym odporem, danym rozbójniczej ideologii protoplastów hitlerizmu. Wielkie bo serce ożywiało wówczas państwowość polską, i ono — jeśli już nie innego — zjednało sobie umysł toruńskiego gwiazdziarza, samotnika, męczyciela i prawdziwego chrześcijanina, nie tylko z nazwy, metryki i profesji. Wspaniałomyślna wielkość ówczesnego praktycznego humanizmu polskiego musiała posiadać dla głębokiego człowieczeństwa Kopernika tak wielką moc atrakcyjną, że przypuszczalnie jego wybór nie był właściwie wyborem: ciałym sercem przyłączył się do wielkiej polskiej Rzeczypospolitej: i z zapałem dla niej pracował i gorąco jej służył, służąc równocześnie swej ukochanej ziemi warmińskiej, przez cały swój pracowity i bynajmniej nie tak radosny żywot. Czuł się wolnym obywatelem wolnej Rzeczypospolitej polskiej, i słusznie nazywał go Melanchton nieco zgryźliwie „sarmackim astronomem,” bo też był on Sarmatą, choć nad kołyską jego, jak rzeczone, być może nie sarmacką śpiewano kołysankę. Był czas, że po śmierci jego biskupa — wuja, cały ciężar spraw związanych z najżywońszymi zagadnieniami polityki polskiej w nadbałtyckiej pofaci kraju, spadł na Kopernika, i on, dobry syn swej ojczyzny, ciężar ten na barkach swych utrzymał, rzetelnie służąc

polskiej państwowości i twardo stojąc przy niej na sejmikach w Elblągu, w Malborgu i gdzieindziej. Na przestrzeni jego całego życia nie znajdziesz ani jednego grzechu wobec Rzeczypospolitej, ani jednego choćby uchybienia, ni chwili wahania, po której stronie i kogo uważa za swoich. Zaiste, nie miał się Melanchton za prawdę, gdy podrywał sobie z Kopernika jako z Sarmaty czyli Polaka, gdyż całą duszą był wielki astronom z Polską związany i ze wszystkich sił swoich jej też służył.

Gdy myślą przebiega się dzieje naszej kultury i szuka się jakiegoś podobnego zdarzenia, także wyboru, dokonanego przez człowieka o niezwykłych wymiarach, mimowoli przystajemy przy osobie Józefa Conrada - Korzeniowskiego, choć długi go dzieli od Kopernika „wieków przedział” i analogia jest do pewnego stopnia analogią à rebours. Conrad był Polakiem z krwi i pochodzenia, nawet z tradycji i umysłowości, Polakiem też o pełnej narodowej świadomości pozostał po koniec swego życia; mimo to jednak — doraźne związanie się ze światem angielskim poprzez swe rzemiosło marynarskie i rozmiłowanie w morzu, wybranie tworka Szekspira, którym praktycznie ponoć nie był, głównie władai, i uczynienie go językiem swych cydzieł, ściśle zespolenie się z angielskim kręgiem kulturalnym i krążenie w jego orbitach, wszystko to sprawiło, że stał się on niewątpliwie ambasadorem ducha polskiego w kulturze angielskiej, ale kultura, dla której pracował, na której poczet zapisane zostło jego wielkie dzieło, jest mimo wszystko kulturą brytyjską. Tak wielka jest przemoc związania się z daną cywilizacją, że nawet żywe poczucie polskości u autora „Zwycięstwa” nie może uczynić zeń pisarza polskiego. Wybrał sobie niepoczesne miejsce na firmamencie angielskiej kultury i już tam na zawsze pozostanie. I próżno były wszelkie próby rewindyka jii. To samo prawo związania z pewnym kręgiem kulturalnym działało i w wypadku Kopernika. Z polskiego pochodził rodu, lecz z matki obcej, co w dzieciństwie być może nienieckiego go uczyła pacierza, w tak jednak ściśle wszedł związki z życiem polskim, z nauką polską, z polskimi formami społecznego i państwowego bytowania, a nadewszystko tak przemożną poczuł affinitas z ideową i moralną atmosferą ówczesnej Polski, że gdyby jakieś statystyczne formularze z dzisiejszych formularzy dla Volksdeutscher, umieściły go w rubryce Germanorum, on z wolnego wyboru duszy, głębokiego zespolenia z polskością we wszystkich jej przejawach musiał się czuć obywatelem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Sarmatą, Polakiem. Inaczej być nie mogło.

A raczej: mogło. Gdyby Kopernik nie był tym, czym był, duchem, co nad wszystko stał się „święta sprawiedliwość,” gdyby Polska nie była tym, czym była, wielką Matką Narodów, mądrą władczynią dusz, może stałoby się inaczej. Ale obmierłość krzyżackich zbrodni i czar polskiej państwowości i polskiego powietrza kulturalnego sprawiły, że Kopernik całym swym życiem opowiedział się za Polską. Już wówczas oczy jego, oczy jasnowidza, musiały bowiem dojrzeć wyraźnie, co to za proces i między jakimi antagonistami odbywa się tu, na północnych i zachodnich rubieżach Polski, o co idzie bój i czyje zwycięstwo będzie zwycięstwem prawdziwego chrześcijaństwa i człowieczeństwa, o co zbyt bliska sprawa jest do oglądania, by ich nie mógł dostrzec i oenić. Sprawa opowiedzenia się za



się musiała dla niego sprawą sumienia, bo niepodobna, by w tych warunkach historycznych i dla człowieka tak wysubtelnionego duchowo, przy tak żywej tradycji chrześcijańskiej, jaką reprezentował, mógł się zasłaniać jakimś narodowym oportunizmem, jakimiś argumentami „rasowymi” i zejść chyłkiem z drogi istocie rzeczy: po czyjej stronie, bożej czy diabelskiej?

Rozdroże, które dla przeciętnego człowieka może nie istnieć, gdyż statystyka wszystko to już za niego załatwi, nie mogło nie istnieć dla duszy Kopernika. Zrozumiał on już wtedy zapewne, co kiedyś później z taką siłą miał wyrazić Wyspiański, iż jeśli sprawa naszej przynależności narodowej nie jest sprawą naszej odpowiedzialności, naszej najgłębszej orientacji duchowej, naszej mocy moralnej i prawdy wewnętrznej, jest ona tylko świadectwem chęrlactwa duszy, nędzną testą oportunistu. Na onej też tylko wyżynie, wyznaczonej przez moralną i etyczną problematykę tej sprawy, mógł Kopernik rozstrzygnąć sprawę swą wspólnoty narodowej. I dlatego właśnie, że tak ją mógł tylko rozstrzygnąć, i tak ją rozstrzygnąć musiał, choćby czuł się od kolebki najgorętszym Polakiem, padło jego oświadczenie się za Polską, zadokumentowane życiem całym i całą swą działalnością. Nie zasłonił oczu, nie wymówił się niebem ni gwiazdami, ale opowiedział się za „świętą sprawiedliwość” i tym, co ją wówczas reprezentowało.

I dziś, gdy wielki proces dziejowy, zapoczątkowany za dawnych czasów Konrada Mazowieckiego dobiega zdaje się swego ostatecznego kresu, ujrzyć nam trzeba w Koperniku nie tylko znakomitego rodaka, co „z posad ruszył ziemię,” ale i wielkiego współbojownika w walce z tą samą nawalą krzyżacką co i obecnie, jak przed wiekami, jak za czasów Kopernika, przechodzi niczym burza

złości przez kraje polskie, niszcząc i wdeptując w ziemię wszystko, co śmie stawić odpór jej szatańskiej żądzy wyracania. Przed czterystu z górą laty wypowiedział jej Kopernik walkę w imię ideałów chrześcijaństwa i w imię godności człowieka, w imię wszystkiego, w co wierzył, iż jest boże, szlachetne, prawdziwie ludzkie, a broniąc spraw swych braci kapitulnych i obywateli warmińskiej i pomorskiej ziemi, stanął w długim szeregu tych, co przed nim i po nim walkę tą podejmowali i prowadzili. Gdyby oczy jego brązowego pomnika mogły być ujrzyć krew, jaka zakwitła na wieńcu składanym czasu najstraszliwszego ucisku, jaki kiedykolwiek ziemia ta zaznała, ujrzałby w niej nie tylko krew ofiary „nie tak wielkiej i świętej, lecz równie niewinnej,” ale także żołnierza szeregów, które on sam kiedyś sprawiał do walki z szatanem krzyżactwa, choć nie czynił tego w zamęcie bitwy i zgielku zmagających orężnych. Zrozumiałby lepiej niż wielu dziś żyjących, co ta krew znaczy i dlaczego płynie, jaka jej cena i za co wylana. Dlatego dziś, gdy cały świat w nim wielkiego polskiego astronoma, gdy i druga półkula ziemskiego globu rozbrzmiewa hymnami na cześć wielkiego przedstawiciela kultury polskiej — bo chyba nie niemieckiej, z tego z pewnością niemiecka propaganda zdaje sobie sprawę — wolno nam i należy uczcić w Koperniku wielkiego współobywatela, wielkiego współbojownika w tej samej potrzebie, co i obecnie trwa jeszcze, oraz wielkiego budowniczego polskiej państwowości, polskiej kultury i polskiego pojmowania świata, wiernego syna tej ziemi i niezastępliwego obrońcy człowieczeństwa w człowieku, dla którego tak teraz jak i wówczas niema i nie było zaiste ważniejszej sprawy, jak sprawa „świętej sprawiedliwości.” I zaiste, dziś jest on bardziej z nami, niż może był kiedykolwiek.

## UNIEPOTRZEBNIENIE MĘCZENSTWA

Nie za sobą z krzyżem Zbawiciela, ale za Zbawicielem z krzyżem swoim, to jest zasada w s z e c h a r m o n i i społecznej w Chrześcijaństwie... To jest nareszcie tajemnica ruchu sprawiedliwego.

Cyprian Norwid

Jeżeli w wiekach XVIII i XIX - stym Polska wstąpiła się przez swoje nieszczęścia sława ta, wiemy, utrzymała się nie tylko dlatego, że współczucie było modą epoki romantycznej, ale i dla głębszego niepokoju sumień, rozumiejących, że zbrodnie dokonane w Polsce i w Polsce godziły w samą istotę tych wartości moralnych, którymi żył cały świat zachodni. „La Pologne malheureuse,” „das arme Polen!”... długie lata nie mówiono o Polsce inaczej a smutna sława cierpienia zrosła się z nią w jedną nierozdzielalną całość. Blask aureoli męczeńskiej odpowiadał ówczesnym pokoleniom polskim. W świetle jego powstała wielka poezja romantyczna, Stworzył swe dzieła Szopen i Grottger. Nawet tak żywiłowa próba siły, jak powstanie styczniowe, rozegrała się z góry w kirza żałoby i modlitwach pokutnych. Na cierpieniach i ofiarach Polski budował swe ideały ruch mesjaniستیczny.

Wiara w zbawienie przez martyrologię unosiła się w Polsce przez cały niemal XIX wiek. Na początku XX wieku obudził się przeciw niej bunt. Przyczyny jego były wielorakie. Współczucie świ-

ta, na którym budowano niegdyś ciele gmachy realnych nadziei, przejawiało się nadal w ogólnikowych sympatiach i pocieszeniach — sumienie, choć ciągle niespokojne, nie miało dość odwagi, aby przeciwstawić się wygodzie faktów dokonanych. „Pologne malheureuse” przechodziła w stan chroniczny i przerażać się w nieobowiązujący komplement, coraz nudniejszy dla świata i na szczęście także i dla nas.

Zwrot do czynnej walki i niezawistego, twórczego życia cechuje nasze wejście w XX wiek. Prognozy zwrotu sięgają już w bieg ubiegły. Chopin u schyłku życia przewycięża melancholję i uderza w heroiczny ton, Matejko maluje z innej psychicznej palety, niż Grottger, Norwid przemawia innym głosem, niż wielki twórca Dziadów. Bohaterskiej, świadomej postawy żąda od narodu Wyspiański. Rewolucja 1905 roku, choć przegrana i w ofiary obfita, pozostawia po sobie nie żałobę a żądzę i gotowe programy dalszej walki. W Piłsudskim kipi już wreszcie gniew i namiętne pragnienie skończenia z cierpiętnictwem, którego kwiat wyrasta jak pasożyt na spruchniałym pniu niewoli.

Istoty tego przewrotu nie ma potrzeby tłumaczyć irracjonalnie. Naród polski na początku XX wieku mógł z dumą i otuchą spojrzeć wstecz na dzieło swe dokonane w ubiegłym wieku, kiedy to pozbawiony wolności, stworzył samoistnym wysiłkiem wszystko, co stanowiło podwaliny niezależ-



nego i pełnego bytu. Z poczucia własnych sił powstało nieodparte pragnienie pełni życia, które znalazło wyraz w Polsce Niepodległej.

„La Pologne malheureuse” zniknęła bo musiała zniknąć z ust świata. Pamięć o niej jednak nie zginęła i przerodziła się w jakieś łaskawe przypuszczenie, że Polska Niepodległa była niejako wynagrodzeniem za krzywdy doznane przez dawniejsze pokolenia. Klepano ją po ramieniu jak słabe dziecko, dopuszczone w towarzystwo zdrowych i silnych i grożono palcem gdy chciała zachowywać się tak jak one. Ci zaś, którzy ponieśli realne straty z tytułu wyrównanych krzywd, zaczęli się zastanawiać, czy jednak nie warto dać światu popłakać nad nieszczęściami Polski i odmówić jej z powrotem prawa do swobodnego życia.

W wyzwolonej Polsce rozstawano się z legendą mężeńską szybko i gorliwie. Starsze pokolenie odniosło się do niej pedagogicznie, czyniąc z niej coś w rodzaju ostrzeżenia młodych pokoleń przed niebezpieczeństwami, które się mogą powtórzyć. Skromnie te nauki nie padły na podatny grunt. Raz, że wyrastało pokolenie o zainteresowaniach aktualnych, mało skłonne do obciążania się tradycją, drugie, że wychowawcy jego nie umieli z wielkiego przekazania mężeńkiego wycisnąć tego, co w nim było najcenniejsze i co się powinno było przerodzić w teorię twórczego życia, opartego na maksymalnym wysiłku dla narodu i i poczuciu największej odpowiedzialności za jego losy.

Atmosfera „normalnej” pracy, normalnego obowiązku i prawa do życia stawała się coraz bardziej dominującą cechą nowej rzeczywistości. Męczeństwo szło w niepamięć, omal, że nie wymiannie i wykpię. Służba ojczyźnie stawała się jedną z potocznych, niekiedy dokuczliwych funkcji życia. Jakkolwiek sądziłibyśmy o tym — nie inaczej rozwijał się świat, a upodobnienie się do szerokiego świata, wraz z jego mechanicznym pędem do doskonałości i zewnętrznym ładem — było ambicją całej niemal Polski. Cbaw, że tym normalnym, zachodnio europejskim zasobem pojęć i środków nie będzie można w naszej sytuacji sprostać groźniejszej historycznej próbie — nie było. Cptymizm i zaufanie do życia jakim jest, a nie jakim być może i być powinno ogarnęło wszystkich. Po dwudziestu latach niepodległości rozbrzmiewało w Polsce hasło; jesteśmy gotowi. I rozumiano, że jesteśmy gotowi na wszystko.

Od owego czasu dzielą nas tylko cztery lata — lata krwawe, ponure i trumienne.

Na głowy pokolenia najmniej przygotowanego do męczeństwa spadły najcięższe ciosy, jakich kiedykolwiek doznał polski naród. Terror jawny i skrytobójczy, działający poza wszelkim prawem i wszelkimi zasadami moralnymi, zmienił Polskę w legendarną już krainę łez i krwi. Rozmiarów prawdziwych nieszczęścia nie sposób jeszcze uchwycić, gdyż nasi wielcy pogromcy zachowują się jak mali złoczyńcy i skrzętnie zacierają za sobą ślady zbrodni — ale już, to co widzi się dziś z okna swego domu, z czym się styka na ulicy, co przeżywa się w najbliższym swoim środowisku, wystarcza, aby pojąć, iż dzieje się coś bezprzykładnego w okrucieństwie i haniebnosci. Przy całej czci jaka się należy ojcom naszym, trzeba stwierdzić, iż cierpienia ich wydają się nam wobec tego, co się dziś dzieje rzewną i smutną, ale łagodną opowieścią. Bo czymże jest Sybir i katorga wobec

losu naszych wygnañców w Rosji i masowego mordu oficerów polskich w Katyniu? Czym egzekucje powstańcze i rewolucyjne, wobec tępienia dziesiątek tysięcy w Oświęcimiu, Treblince, Majdanie? Czym wywłaszczenia na wschodzie i zachodzie, wobec jawnego rabunku polskiego mienia na całym obszarze Rzeczypospolitej? Czy jest z historii nowożytnej przykład owego podziału ludzkości na różne kategorie prawne, nie według pracy i zasługi, jak się to fałszywie głosi, ale według historycznej chimery, skazujących jednych na niewolnictwo i drugich na panów świata? Gdzie, od czasów Dzingischana, widzi się zmiecione z powierzchni ziemi osiedla i części miast — na długo już po rozegranych bojach?

Bezprzykładna próba spadła na nas niespodzianie i niki w Polsce, w najstraszniejszych nawet przewidywaniach, nie przypuszczał, że zapomniany okres męczeństwa powróci do nas w tak wyolbrzymionej, nieprawdopodobnej formie. I rzecz szczególna: to nieoswojone z nią, nieprzygotowane pokolenie, wytrzymuje próbę z zadziwiającą odpornością i siłą. Ogromne straty które ponosi, nie tylko nie osłabiają jego przyrodzonej optymistycznej postawy, ale i tchną w nią tężyznę i coraz powszechniejszą świadomość koniecznego odporu. Niepowstrzymana, osłupiająca jest werwa Warszawy, koncentrującej dziś główne polskie siły. Niepojętą wprost jej prostota, która z walki, nieszczęścia i śmierci czyni coś potocznego, coś tak związanego z życiem, jak zarabianie na chleb dzienny, wycopynek i sen. Mało jest łez w Polsce, mniej niż było kiedykolwiek w jej nieszczęśliwych dziejach. Mało żałoby. Mało skłonności do pokutnych rozmyślań i obrządków.

Co się zatem zmieniło, co nie poszło na marne. Zaczynamy już rozumieć co. Można niedołą uważać za dopust Boży i karę za popełnione grzechy i wówczas, choćby jak bezlitosne męczeństwo staje się niejako celem życia i stanowi główny jego sens. Połączona z nim idea odkupienia przesuwa wówczas nagrodę w odległy, napoty nierealny świat i czas. Tak pojmwali narodowe klęski nasi ojcowie, spoglądając wstecz na haniebne czasy saskie i następny po nich okres zaprzędania podłości i zdrady. Ale można również klęski tak przebiegające wszelką miarę jak dzisiejsze uważać za obelgę wyrządzoną Bogu i ludzkości i żądać odkupienia tu, na miejscu i za życia. Tak pojęło dzisiejszy okres nasze pokolenie, mając za sobą spełnioną ofiarę ojców i dziadów, zawartą nie tylko w ich cierpieniach, ale i w rzeczywistym dziele, z których razem wyrósł po wielu próbach naród polski, zdrowy i szlachetny i stworzył sobie państwo polskie, równe wszystkim innym a od wielu doskonalsze.

Dziś, kiedy nadmiar zbrodni popełnionych w Polsce wyłonił się przed ogólnym powojennym rozrachunkiem i wywołał pierwszą w tej wojnie wielką dyskusję czy polemikę moralną — nie mamy zamiaru dołączać się do niej, nawet, gdyby chodziło nie tylko o Katyni ale i całość okrucieństw, popełnionych na naszej ziemi, z tej czy owej strony. Nam nie potrzeba teoretycznych i statystycznych rozważań. Współczucia od świata nie oczekujemy i nie chcemy. Chcemy sprawiedliwości za którą ginęliśmy i ginemy. Jeślibyśmy jej nie mieli otrzymać, to tak, jak podpaliliśmy świat w tej wojnie, tak ma spędzić po niej z oczu s n.



Krew zaś naszą i pamięć o ludziach, którzy padli w tej walce wtopimy w nowe, oczekujące nas życie. W duszach naszych, chociaż widzieliśmy rzeczy, o których się nie śniło żadnemu pokoleniu, nie ma miejsca na legendę zbawienia siebie i świata przez męczeństwo. Jeżeli krwawy chrzest zbli-

żył nas do zapomnianych tradycji i uczynił, cośmy zaniedbali sami — to jednak doznany wstrząs nie może cofnąć nas do dawnych lat a tylko przereździć jeszcze jeden raz i tchnąć w nasz młody i naiwny pęd do życia powagę i kult wysiłku, wyższego ponad potoczność codziennych zadań i spraw.

Stanisław Rogowski

zamordowany w Oświęcimiu w listopadzie 1940

### PRZED POMNIKIEM POETY

Samoloty, samoloty, samoloty  
wstrząsają rzadkim krzewem,  
ptaki, ptaki, ptaki  
nadsłuchują między śpiewem a śpiewem  
samoloty, samoloty, samoloty  
wyprawiają mięśnie błękitu  
powitania, oddechy, spotkania  
zamierają w wiatrach pełnych zgrzytu.

W ciemniach nocy surowo milcząc  
w dziejach ziemi ziarnistej wietrząc  
wieszcz powoli od oczu odwyka,  
przeczuwając z cokołu pomnika,  
że dla pięści coraz bliższe gardło,  
dla nieznośnych ucisków — krtań.  
Jeszcze jeden dzień, jeszcze noc się skradło  
obcej wiosnie własnych zapachów i wiań.

Słyszysz? Huczy gniewny krok hord.  
Czujesz? W szmer krwi twojej się wdziera.  
Na gałęzi zielonej mord  
dom muzyki i wiedzy umiera.  
Nad proporcem domu skośny wiatr  
obok brata trwożny brat  
bowiem rzecz błękitną domu miłują,  
bowiem rzecz błękitną smakują.

### NAD RZEKĄ

Już widniej. Na dnie owoc sierpnia od ziaren tłusty  
skacząc piasek nasrebrza.  
Godzina sycona wilgocią pełnych trzcin  
soczystsza jest i lepsza.  
Rybacy nuca czas, dotkliwie ryby pluszcza  
ku dnom łodzi rzeka się pieni  
i tak stojąc nad rzeką głośną  
tak słuchając pilno do jesieni.  
Ciebie — żywiołu chciwą  
mnie — żywiołu złąkłego  
módlmy się: poro przejrzysta  
zbaw od złęgo.

Od minięcia się samotnego.

### SZUKACIE PRAWDY?

Znajdziecie ją w czasopiśmie i broszurach Obozu Polski Walczącej! Czytajcie więc te wydawnictwa i rozpowszechniajcie je wśród Waszych przyjaciół i znajomych. Poznawajcie prawdę i na niej budujcie Swoje rozważania, wypowiedzi i poczynania polityczne!



## DO SYNA PROŚBA

Synu, kołyskę omiń  
jeszcze w niej nie przestał szelest wód  
nie wypalił się lazur wiklin.  
Balansuje, wisząc u stropu  
z zapowiedzią słodkich nut  
ukwiecona kwiatem heliotropu.

Z brytanami nocą wyrzał ojciec  
dziwonożny, rosochaty — piał śpiew,  
że mu lepiej na niebieskich polec lądach  
w ustach mając poranku krew.

Matko, z pożywną piersią,  
w której święte bulgoce mleko, spraw  
żeby syn nasz nad cieniami uniesion  
przy zdmuchniętych gwiazdach uniesion  
ciemność przebył wplaw.

Kołyskę kołysz dumna,  
wilgi w nią wplataj i szczygły,  
niechaj pchnięta skrzydlatym pomysłem  
pomknie w noc, które zastygły  
nad twym losem, matko rozumna.

Mlekiem drogę jej ściel  
nad obszary dróg mlecznych niech wplynie.  
Moich włosów gorzką czerń  
twojego ciała smukłą biel  
będzie lazur wspominał wiklinie.

Tak synu. Kołyskę omiń,  
Cóż ci damy w mrok wpatrzeni i trwożę,  
kołysankę z jakich nut  
na drogę.

Już nie zbawi ciebie, nie wywiedzie  
Tylko strzec przed przyjściem będzie  
Twojego ojca groźna brew,  
twojej matki smutny śpiew.

## PRZEZ DWIE GRANICE

## Reportaż

„Benedicat vos omnipotens Deus” błogosławi nas staruszka węgierka, u której przed wyruszeniem w długą drogę zebraliśmy się o świcie, aby omówić ostatnie szczegóły podróży.

Jest Dr. Ch., któremu doktorat i fałszywe nazwisko doskonale zakrywały szlify podpułkownika W. P., ja z bardzo pięknym, historycznym nazwiskiem węgierskim i nasz wypróbowany przyjaciel Margitka, która ma za zadanie „pilotować” nas do granicy węgierskiej, i po drodze mówić do nas po węgiersku, aby włóczący się po kolejach „dedektywi” i żandarmi węgierscy nie mieli żadnych wątpliwości, że nie jesteśmy „magyar embek” (Węgarami).

Mamy jechać koleją z B. do W., miejscowości granicznej, gdzie będzie na nas czekał Czarny Janek, który ma nas poprowadzić do Polski... Ogólnie rzecz biorąc, jesteśmy wszyscy wzruszeni.

Rozmawiamy o tym, którą klasą jechać, jak siedzieć, czy razem, czy oddzielnie, co robić na wypadek gdyby kogoś z nas zatrzymano i jak się legitymować w wypadku zatrzymania.

Obstawieni jesteśmy nienajgorzej. Do autentycznych dokumentów na fałszywe nazwiska, posiadamy sfałszowane przepustki urzędowe, że wolno nam w sprawach rodzinnych udać się do stacji, do której jedziemy. Koncepcja naszego ubezpieczenia jest bowiem oparta na dwóch elementach, a mianowicie nie dać się rozpoznać, że jesteśmy Polakami, którym w zasadzie nie wolno podróżować, a w wypadku gdyby jednak nie udało się historia z udawaniem Węgrów i gdyby się nami zainteresowano, mamy gotową legendę i prawie — jak prawdziwe — dokumenty, legalizujące w inny sposób naszą podróż.

Wpadunek nie jest rzeczą błahą. Tak bowiem, jak ludność cywilna jest w przeważającej większości przychylnie do nas usposobiona, tak znowu t.zw. czynniki oficjalne nie różnią się wiele od Gestapo. Wsypa pociąga surowe śledztwo i osadzenie w obóz karny, który dla oficerów zorganizowano w Siklos, na serbskiej granicy, w malowniczym, zamku hr. Beniowskich, spokrewnionych z naszym Beniowskim, kołederatem barskim. Byten...



już w gościnie przez trzy miesiące za to, że nie umiałem powiedzieć, gdzie się podzieli żołnierze z obozu, w którym byłem oficerem ewakuacyjnym do Armii Polskiej we Francji. Jako recydywistę zamknęli by mnie chyba do końca wojny. To samo groziło i dr. Ch., zaś Margitka jako obywatelka węgierska, poszłaby do obozu koncentracyjnego lub do więzienia za pomoc Polakom.

Podróż składa się pomyślnie. Znajdujemy wolny przedział, rozkładamy się szeroko i mijamy stacje i miejscowości bez żadnych szczególnych wydarzeń. Konduktor, zagadnięty przez Margitkę o jakąś informację wychodzi przekonany, że jesteśmy „magyar uri emberek,” a nie jest to figura małoważna, gdyż ma obowiązek obserwować i pono otrzymuje po 5 pengő od nakrytego „łebka.” Wszystkie wyspy Polaków na kolejach wynikały z powodu denuncjacji konduktorów.

Podróż trwa cały dzień. Jedziemy w dobrych nastrojach, bo wszystko idzie jak z płatka. Smętnieje tylko Margitka. Tyle już razy pilotowała naszych do granicy — dłażczegóż nie miałyby jej wreszcie przejść.

„Jestem młoda, przystojna i odważna. Mogłicie już stwierdzić, — mówi — że żadnej roboty się nie boję.”

Perswaduję jak mogę, ale skutek nie wielki. Zaczyna się i płacz. Musimy Margitce obiecać, że o niej nie zapomnimy i, że jak tylko zajdą po temu warunki, będzie mogła do nas przyjechać i zobaczyć kraj, któremu dużo uczciwych i dzielnych usług oddała.

Na stacji końcowej czeka nas „Czarny Janek” z miną zatroskaną i melduje, że właśnie na przejściu, którym mieliśmy przekroczyć granicę, szeroko rozlała rzeka. Bagnista już z natury okolica stała się jednym dużym jeziorem. A jest listopad i przyzmrozki. Nadto przed kilku dniami przybyło tu wojsko, które obs dzilo granicę i przeprowadza ćwiczenia. Radzi wracać i dopiero na wiosnę próbować szczęścia. „Wojsko — powiada — mięta, skończą ćwiczenia i pójda. Ale bagna... Ubrani panowie jesteście jak na uroczystość państwową, a pan — tu wskazuje na mnie — ma jeszcze taką piękną walizkę i taki wytworny parasol.”

Istotnie ubrani byliśmy jak tam wypadło, a ja, na dobitkę, za przykładem jednego z przyjaciół pułkowników, uzbroiłem się w piękny parasol, aby w czasie marszu przez granicę nie zmoknąć.

Po krótkiej naradzie decydujemy, że nie wracamy. Zbyt długo czekało się na tę chwilę. Któż zresztą cofa się, nie spróbowałszy uprzednio szczęścia?

Zmężoryzowany przewodnik ustępuje. Zabieramy bagaże i idziemy na przygotowaną melinę, gdzie czekają na nas państwo S., Polacy, którzy tak jak i my znaleźli się na Węgrzech. Jako cywile nie zostali zamknięci w obozie lecz przebywają tutaj na pr. wach internowanych. Gmina dostarcza im mieszkanie, a ministerstwo spraw wewnętrznych wypłaca skromne zasiłki na utrzymanie.

Gospodarze dzielą obawy przemytnika.

— „Bardzo niekorzystny czas wybrali panowie — informuje nas p. S., granica obstawiona jak nigdy i zalana wodą. Nocami mróz. Pójdziecie chyba jak Skrzetuski ze Zbaraża.”

Ale my swoje. Musimy iść i dojść. Gospodarz spogląda nam w oczy i już nie oponuje. Wyprawili

\*) Magyar uri emberek — węgierscy państwo.

stąd już nie jedną partję i chyba nie raz „odradzał” i ustępował. Teraz jednak sprysięgają się na nas i inni. Przybywa Pan Piotr, który jest wtajemniczony i ma przejechać rowerem do granicy do spatrolowania drogi. Nie jest zadowolony z objazdu. Został zatrzymany przez kogutów, jak tu nazywają węgierskich żandarmów. Zapisali jego nazwisko i pewno złożą meldunek. Licho wie co z tego wyniknie...

Wahań jednak już nie ma. Teraz już tylko umowy z lokalnymi przemytnikami. Czarny Janek jest przecież tylko przedsiębiorcą, dyrektorem trasy. Szczegóły są teraz naszą rzeczą. Czasami sam poleci ludzi, czasami zostawi wolną rękę. Był dostawcą „tam.” A jak, obojętna rzecz.

I my nie wiemy co i jak, pertraktując z jakimś drabem o więziennej mordzie, który ma nas samochodem dostawić do jakichś rozstajnych dróg i tam już dalej... Janek wie. Lecz liczy słono — ale o trudnościach już nie gada. Jeszcze raz spateruluje granicę. Jak chwyci, pójdziemy... za dzień lub dwa... Zgadźmy się, cóż robić? Któż przejrzy ten zakuty łeb, któż przejrzy ową granicę?

Wieczorem odjeżdża Margitka. Żegnamy się serdecznie. Są łzy — teraz ogólne. Zaczna, pocziwa Margitka. Wielu — poza piszącymi te wspomnienia — tu w kraju pamięta, z jaką troskliwością dowoziła ich do granicy. Pamiętają ją i w Brygadzie Karpackiej i wśród internowanych w Szwajcarii, a także wielu i tych, którym nawet romantyzm Szkotek nie pozwolił tego zapomnieć, jak kupiwszy im bilety kolejowe „w świat” głaskała ich po mazurskich fizjognomiach, mówiąc „do widzenia”... „Bijcie Niemców...” Dzielna Margitka — nieszczęsne dziecko wojny. Czy przyjedzie kiedyś do Polski. I czy ją wyniesiemy w górę na żołnierskich ramionach...

Nazajutrz znowu niepomyślnie wiadomości. Wieczorem przychodzi Słowak przemytnik, powtarza znane już rzeczy i odradza nam podróż. Mamy chwilę wahań, bo dr. Ch. dostł gorączki i leży. Ale nie. Musimy iść. Umawiamy się już bardziej szczegółowo. Jutro wieczorem pojedziemy autem bez świateł, do skrzyżowania dróg. Tam wysiądziemy i pójdziemy pieszo w stronę mostu na rzecę. Na odpowiedniej odległości przed tym mostem będzie na nas czekał przemytnik i poprowadzi dalej, hasło i odzew przy spotkaniu za pomocą światła latarek elektrycznych, bo strażnica blisko.

Kamień mi spada z serca. Niepokoi mnie tylko dr. Ch., który coraz gorzej się czuje. Dla spokoju sumienia przebakuję, aby wrócił, ale nawet słyszeć o tym nie chce. Zatem ruszamy.

Nazajutrz w dniu 11 listopada żegnamy się z kawałem życia spędzonym w względnym zaciszu, po krótkiej burzy wojennej. Teraz będzie znowu walka... już do końca, ale wśród swoich i za swoich. Ostatnie wzruszenia „po tej stronie” powoduje rozstanie z państwem S., siadamy do samochodu i jazda.

Szofer zmienia biegi, ale szybciej cd cylindrów jego auta mknie nasza wyobraźnia i stukają serca.

Granica... Jak to będzie, jak ją przejdziemy... Nie wiem dla czego wyobrażam sobie przejście granicy jako przejście przez j kiś wysoki płot. Jest tylko mrók i przestrzeń spowita noca.

Nie mówimy nic. Auto mknie po wyboistej



drodze i wreszcie staje. „Wysiadać i do rowu” — instruuje nas Janek.

Auto momentalnie zawraca i niknie w ciemnościach.

Ciemno, choć oko wykol. Po jakichś dziesięciu minutach błyska światło. To nasz przemytnik zgłasza się. Natychmiast jednak błyska światło czerwone, co oznacza — niebezpieczeństwo.

Padamy i czekamy. Po długiej chwili światło zjawia się bliżej. Nasz Janek podnosi się i biegnie w kierunku światła. Za chwilę przyprowadza przemytnika i jeszcze jakiegoś chłopca.

To mój brat — prezentuje przemytnik.

Okazuje się, że przemytnik nie może iść, bo jest pod stałą obserwacją zandarmów, którzy co kilka godzin przychodzą sprawdzać, czy jest w domu. Od przeprawy na rzece pójdzie z nami jego brat. Zna podobno drogę tak, jak on.

Przychodzimy nad rzekę i zaczynamy bezskutecznie szukać podobno umówionego przewoźnika.

Trzeba wracać — radzą i obaj Słowacy i nasz przewodnik Janek.

— Wykluczone — powiadam ze złością — Musimy przejść rzekę.

— Za głęboka i bardzo bystra — odpowiadają Słowacy.

— A więc trzeba poszukać czółna — mówię.

— Są — ale na łańcuchach i zamknięte na kłódki.

— Ile kosztuje kłódka? — pytam.

— Cztery do pięciu pengó.

— Macie tu 10 pengó, zapłacicie to jutro właścicielowi. A teraz szukać kamienia i po głowie kłódkę.

Walę ile sił w garści. W ciszy nocnej po rzece zahuczało jakby stado diabłów z łańcuchami gnało po granicy. Ptaki z drzew pozrywały się i zaczęły z szumem uciekać.

Struchlałem i aż przysiadłem z emocji. W pobliskiej wsi psy zaczęły taki alarm, jakgdyby zwały całą armię złodziei.

— Wariaci mają szczęście — mówi do mnie dr. Ch., gdy za chwilę czółno przepławia się z chłupotem na drugi brzeg.

Zadowoleni z szczęśliwej przeprawy, idziemy rażno naprzód, skłonni lekceważyć wszystko co teraz nastąpi. Droga bardzo przyjemna, bo miedza porosła darnią. Idzie się miękko i bez stuku. Gdzieś te słynne błota?

Po jakiejś godzinie zaczyna się mokra łąka. Niezłe jednak i to.

Tylko od czasu do czasu błyska do nas małe oczko wody, pokrytej lekkim lodem. Omijamy je i jakoś się idzie.

Szybko jednak krajobraz się zmienia. Woda szeroko rozlana, zleńka przymarznięta.

— Dużo tego będzie? — pytam przewodnika.

— Sześć kilometrów.

Sześć kilometrów... Idziemy. Oczka gęstnieją. To jedna to druga noga wpada głęboko w wodę i już nie tylko pełno jej w butach ale i w kieszeniach. Lód chrupie hałaśliwie, a granica ma być, tuż, tuż. Teraz przed nami już jednolite jezioro. Woda sięga po pas. Marzniemy. Wkrótce zapadam po pachy. Walizkę umieszczam na głowie, a parasolem żongluje, aby nie stracić równowagi i nie upaść. Lód coraz grubszy. Z trudem posuwam się naprzód. Towarzyszy podróży straciłem z oczu, nie słyszę również łamania przez nich lodu, pod-

czas kiedy każdy mój krok wywołuje — tak mi się przynajmniej zdaje — nieopisany hałas. Z oparzelisk zerwały się kaczki i z krzykiem odleciały. Naprowadzą strażników — myślę ze strachem.

Głębka. Stanąłem, by się rozejrzeć. Nic nie widać. Przedemną bulgoce niezamarznięty nurt.

Gruntuję parasolem, przekonany, że dno nie jest daleko ale parasol wpada w głębię tak, że tracę równowagę. Wypuszczam więc go z ręki i czym prędzej cofam się w tył. Skręcam w lewo i po jakiejś godzinie walki z wodą i z lodem posyłałem trzask lodu.

„Łamacz lodów idzie!” słyszę uradowany głos dr. Ch.

— Jesteśmy za granicą! mówi do mnie Janek.

— Myśleliśmy, że pan już utonął, kiedy ucichło.

Chwila śmiechu nad granicą, lodem i utopionym parasolem i... dalej.

Lód kończy się i wchodzimy na podmokłą łąkę, a z niej posuwamy się pod wieś słowacką, w której jest jakaś melina, gotowa na nasze przyjęcie. O Boże! aby się przedzej osuszyć i ogrzać. Djabła tam! Nasz Słowak każe nam siąść na ziemi, nie ruszać się i czekać na niego. Idzie na zwia-  
dy.

Po pewnym czasie wraca i informuje, że we wsi zandarmi słowaccy i straż graniczna „hulają.” Trzeba więc czekać, bo to grubsza gra.

Czekamy... cóż robić. Ciąta nasze dygocą jak w febrze...

Słowak wraca znowu do wsi i po pewnym czasie przychodzi z małym chłopcem, bystrym i żywym, który będzie nas po jednym przeprowadzał do swego domu, bo to właśnie u jego rodziny mamy być „zamelinowani,” aby wykonać koleją „skok” przez Słowację, ku drugiej, polskiej już granicy.

Ostatnim zrywem energii wchodzimy do wsi i jak przez mgłę przyjmujemy spadającą na nas deszcz rozkoszy.... Ciepło, zmiana bielizny... gorąca strawa i sen — sen — sen.

Nazajutrz zjawił się Jozka młody urzędnik kolejowy, syn goszczącej nas gospodyni, spryciarz kuty na cztery nogi i serdeczna pijaczyna, z którym rozgrywam prawdziwy turniej pijacki miejscowym koniakiem. Za kilka minut nasz Jozka jest już zupełnie rozklejony, wzrusza się nad nami klnie na Niemców, z chwycą się komitadzi serbskimi, przebąkuje, że organizacja wolnościowa, do której on sam należy ma z nimi ścisły kontakt, a wreszcie... na zawrście przyjaźni słowacko - polskiej, proponuje jeszcze jedną i jeszcze jedną kolejkę.

Umówiliśmy się, że nazajutrz wcześniej rano wyjedziemy końmi do Stacji K., gdzie on jest urzędnikiem ruchu, zakwaterujemy u niego na stacji, a wieczorem odwiezie nas nad granicę polską, pociągami pośpiesznym, który odchodzi do W.

Wieczorem rzczaste się z nami Czarny Janek. Zdaniem swoim jest chwilowo już niepotrzebny. Dołaczy do nas później.

Wola Boska — mówię mu, nie wiedząc co powiedzieć, bo trochę mi się to nie podoba. No ale co zrobić?

Aby nas nie obciążać pisaniem w drodze radzi nam, abyśmy już teraz napisali bilety do przyjaciół na Węgrzech. Ze zdrowo i cało doszliśmy do Kraju. Zgoda i na to.

Piszemy więc pochwały o nim i nie ganimy drogi, bo pomimo wszystkich przykrości, trasa nie



jest źle wybrana, skoro ani odbijanie czołna, ani trzask łamanego lodu, nie naprowadził nam na głowę straży granicznej.

Jak się później okazało, Janek nabrał nas, mając z góry obmyślony plan. Tyleśmy go już widzieli...

Na drugi dzień, gdzieś zaraz po północy, budzą nas, furmanka czeka, konie mają kopyta obwiązane szmatami i jedziemy.

Podróż do stacji kolejowej i mieszkania Joszki odbywa się bez przygód.

Czujemy się... dziwnie, coraz jakos bardziej wiotko i powietrznie. Ostatnia nić, której się można było jeszcze chwycić urwała się wraz ze zniknięciem Czarnej Janka. Pozostał tylko Joszka, nieznany pijak, marzyciel, sprycaż i „rewolucjonista.” Dopóki pijany, nie ma wątpliwości, ale co będzie gdy jakiś wypadek go otrzeźwi? Na razie kupuje nam bilety II kl. i wsadza do pociągu pośpiesznego, idącego do W. Zmęczony przeżyciami i upojony alkoholem zasypia natychmiast w przedziale tak błogo, jakgdyby szło o zwyczajną przejażdżkę. Obudzony na siłę w W. przytomnieje jednak z gotowością wyrwanego ze snu urzędnika ruchu.

Zaczyna od perory na co się naraża, wdając się z nami. Następnie zobowiązuje nas, nie ujawnić go w wypadku, gdyby się nam nie powiodło. W końcu wysadza nas po drugiej stronie pociągu i „ukrywa” między dużymi hałdami węgla. Sam idzie szukać przemysłników.

Ze nas wówczas między kupami węgla nie zauważono, że nie zwrócono uwagi na dwóch ludzi z bagażem, którzy nie wiadomo na co czekali w miejscu, do którego na każdej stacji kolejowej wstęp jest wzbroniony, żeśmy nie wpadli, choć wielu kolejarzy przechodziło koło nas i jakieś uzbrojone postacie kręciły się tam i za powrotem, to przypisać należy chyba tylko jakimś słowiańskim i łagodnym stosunkom, panującym w ojczyźnie Joszki.

Dość domowo rozgrywa się i dalej bieg wydarzeń, kiedy to Joszka powraca i oznajmia nam, że znalazł przyjaciela, urzędnika bankowego, który „tak po zajęciach służbowych” — interesuje się trochę przemysłem.

„Przyjaciel” ów za niewielką opłatą może nas skontaktować z dwoma już prawdziwymi przemysłnikami, którzy nas poprowadzą aż do kolei w Polsce.

Niewielka opłata okazała się dość wysoką na nasze środki, ale przemysłnicy i „przyjaciel” rzeczywiście przybyli.

Pozostał do wykonania przedostatni już „skok” ze stacji do wsi podgórskiej, gdzie mieliśmy przemocować, aby odbyć końcowy marsz do Polski, sz. ślazięciokilometrową trasą górską. Przystępujemy do niego z „domową” strategią, ale bądź co bądź tategią. Daleko na przodzie idą przemysłnicy z b. gażem, a w tyle my i Joszka z przyjacielem, którzy mają nas odprowadzić do granicy miasteczka W.

Zaledwie jednak uchodzimy jakieś pół kilometra, słyszymy głos puszczyka. Wsunieci naprzód przemysłnicy sygnalizują niebezpieczeństwo. Natychmiast po tym słychać kroki i głośnie „Halt!”

Wpadunek... straż graniczna. Co będzie? Czy domowy duch unoszący się nad Słowacją wydobędzie nas z matni? Czy to już koniec. Wszystko w rękę Joszki...

Wystawiony przez nas przeczornie na pierwszy

ogień, sprawia się wcale, wcale... pokazuje legitymacje, tłumaczy przyjaciela, że legitymacji nie posiada, bo fest miejscowy i wszyscy go znają i gada, gada, gada. Nas jakby nie było. Słyszę „Na straż!” — pożeganie strażników. Skwapliwie powtarzam „Na straż!”

Cud, o który się modliłem, stał się. Puścili nas z rąk.

Najniespodziewaniej w świecie wybucha nowa i groźna historia. Nasi przemysłnicy spłoszeni spotkaniem ze strażą graniczną, nie chcą już ani słyszeć o tym, by nas dalej prowadzić. Strażnicy owszem przeszli, ale teraz przyjdą do nich na rewizję. Żadne perswazy nie odnoszą skutku.

Co począć nie wie już i Joszka i jego przyjaciel. Spoglądają zamyśleni na boki i czuje, że chcą nas zostawić własnemu losowi, z całą energią zgubionych ludzi przemawiamy im do rozumu, do zgubienia, do serc. Pot bije nam na czoła, ale miękna.

Po długich wysiłkach udaje się skłonić przyjaciela Joszki, aby poszedł szukać jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy doczekać do następnego wieczora, a wieczór iść dalej. Inspekcja nie udaje się. Przyjaciel wraca zgaszony. Nikt w miasteczku ani słyszeć nie chce, o przetrzymywaniu „politycznych.”

— Będziecie chyba musieli noc przesiedzieć pod kościołem — decyduje Joszka — może w dzień coś się da zrobić.

Idziemy pod kościół i tu, w krypcie dla dziadków kościelnych, spędzam najdłuższych chyba kilka godzin mojego życia. „Przyjaciel” jednak raz jeden jeszcze próbuje szczęścia na mieście. Przynosi dobrą wieść: jest taki dom, gdzie będzie można przemocować.

Warunek jednak jest taki: gospodarz nie chce o nas nic wiedzieć, zostawi drzwi od domu otwarte i trochę drzewa na opał. W wypadku gdyby nas złapano w czasie rewizji, która tu pod granicą jest każdej chwili możliwa powie, że zakradliśmy się do otwartego mieszkania bez jego wiedzy i zgody. Gospodarz ów śpi na końcu domu.

Rola jego i Joszki jest jednak już spełniona. Reszta spada na nasze głowy. Jeżeli noc przejdzie spokojnie, może i sam gospodarz zmięknie i dostawi przemysłników. Zgadamy się bez słowa protestu. Cóż mamy robić. Joszka żegna się zaraz i odchodzi. U progu tajemniczej siedziby ułatwia się i jego przyjaciel. Płyniemy już całkiem sami w nieznane.

Ze ściśniętym sercem otwieramy drzwi obcego domu. Kim jest mieszkający tu człowiek? Co z nami zrobi? Co zamysła? Gdyby wyszedł do nas z zandarmami czyż moglibyśmy mieć do niego pretensję?...

Rozglądamy się bacznie i... nabieramy otuchy. Jesteśmy w typowej kuchence zamożniejszego, wiejskiego gospodarstwa. Pod kuchnią płonie ogień, obok leży sporo sosnowego drzewa i stoją dwa krzesła...

— Kto wie, może nam tu zginać nie dadzą... wzdycha udręczony do ostateczności dr. Ch.

Za chwilę zasypia. Ja zaś czuwać do rana, oddany na łup trwogom, przypuszczeniom i przewidywaniom. Jesteśmy w samym środku owej chmury niepewności, której na imię „granica”. Zgęściła się nad nami tak, że już nic nie widać, o nic zaczepić, prócz majaków własnych myśli.

Nad rankiem następuje przejaśnienie. Zjawia się gospodarz, człowiek poważny i wzbudzający zaufanie. Rozmowa nawiązuje się odrazu w atmos-



ferze szczerości, bez alkoholicznych uniesień Joszki. Słowak nasz nie lubi Niemców, nam dopomóż, bo to jedna słowiańska krew. Jesteśmy oficerami, to widzi odrazu. Tym chętniej zrobi dla nas co będzie mógł.

I istotnie przeniósł nasze rzeczy z kuchni do swego pokoju, odstępuje nam swoje łóżko, każe przygotować śniadanie, a sam wychodzi szukać okazji t.zn. przemytników, którzy w nocy z przemytem pójdą przez granicę.

Gdy zbudziliśmy się koło wieczora, czeka na nas z gotowaną kurą i wiadomością, że jest okazja, bo w nocy trzech przemytników idzie do granicy polskiej, gdzie nas i towar oddadzą przemytnikom z tamtej strony.

Przygotowania, rozmowy, targi i wymarsz o wieczorze. Jest ostry mróz i śnieg. Zbaczamy odrazu w strumą ścieżkę górską i odrazu pojmujemy co nas czeka.

Po paru kilometrach jesteśmy wypompowani z sił. Przemytynicy z workami jedwabnych pończoch i nici, o wadze około 30 kg., odpowiednio ubrani i zaprawieni do chodzenia po górach, idą szybko, bo o północy mają być na granicy, gdzie ich oczekują. Chcąc dotrzymać im kroku przewracamy się co chwilę, raniąc sobie łokcie i kolana. Mimo całą zaciętość, wobec ostatniego etapu drogi, pozostajemy w tyle. Zniecierpliwienie ogarnia ich i nas. W pewnej chwili proponują nam, abyśmy zostali, bo nie dojdziemy. Gdy będą wracać, zabiorą nas i kiedyś pójdą ponownie już tylko z nami.

Dużo pracy, wymowy i obietnic musimy zużyć, aby ich odwieść od zamiaru porzucenia nas w górach. Bo jakież tu czekać, gdy mróz aż zapiera dech. Dolary rozstrzygają sprawę. Wchodzimy w las. Zataczając się, objam się od drzewa do drzewa — wywracam się, leżę chwilę półprzytomny i dostrzegam, że jestem sam. Wołam zrazu ostrożnie, ale potem głośniejsze i głośniejsze. Kręcę się w kółko to tu, to tam. Nikt nie odpowiada. Wicher, który się zerwał, przesypuje masy śniegu i miota mi je w twarz. Zrozpaczeni przysiadam na chwilę, marzną, zrywam się i znów wołam i szukam. Głos mój niesie się po drzewach, niepomyślnie żadnego niebezpieczeństwa.

Aliści błyska, wśród drzew światło. Swój, czy nie swój, biegnę ku niemu. Po chwili słyszę głos dr. Chr.: „To ty?”. I jego przemytynicy zgubili tak, jak i mnie. Nic się wprawdzie teraz nie zmieniło w naszym położeniu, ale we dwóch czuliśmy się inaczej, lepiej. Wspólnie wszczyliśmy alarm i po jakiejś godzinie odnajdujemy naszych przemytyników, leżących pod krzakiem, rozgorzconych, że przez nas opóźnia się tak ich droga. Znów targ o pieniądze, tym razem bezskuteczny. Ze skwaszoną miną przemytynicy podnoszą się i idziemy dalej.

Po jakiejś godzinie marszu jesteśmy nieprawdę u kresu sił. Wypraszamy od naszych przewodników wypoczynek i padamy natychmiast w śnieg, aby nie zmarzować ani sekundy wytchnienia.

Przemytynicy zapalili papierosy. W czasie gdy błysnęła zapalnika w rękę jednego z naszych przemytyników, po lecie rozległ się bek rogacza. Raz i drugi....

— Patrol! — syknął jeden z przemytyników i zaczął się wycofywać.

Między drzewami rozbiły się światło. Przemytynicy nasi prysnęli jak z procy. My z dr. Ch. onieśliśmy z emocji. Patrol — co teraz będzie?

Głos jednak ni światło nie powtarza się więcej. Patrol? skądże ta cisza. Zaintrygowany skradam się od drzewa do drzewa, w stronę, skąd błysnął znak. Przystaję ....., gdyż dochodzi mnie przyciszony gwar rozmowy. Są ludzie pomyślałem — ale kto?

Trzeba brnąć dalej — mówię sam do siebie i jak można najciszej posuwam się, aby zbadać co nam grozi. W pewnej chwili rozmowa jakby nabrzmiała, stała się głośniejsza i całkiem wyraźnie usłyszałem pewne, znane mi wulgarne, polskie, kresowe słowa: „Na.... mater” .....

Gdybym w tej chwili posłyszał anielskie chóry, nie wiem czy bym był tak olśniony, jak na ten niechybny znak obecności kresowych Sarmatów. Swoi! Polacy!....

Zbliżywszy się dalej, zobaczyłem obrazek jakby żywcem wycięty z jakichś jasełek. Kilkunastu pasterzy z worami i długimi laskami siedzi dokoła małego, osłoniętego ogniska. Przy ognisku wyróżnia się jakiś starszy — jak mi się zdawało — człowiek, który wydaje polecenia... Nasi....

Bez chwili wachania podszedłem do pasterzów i powiedziałem mu, że jestem oficerem polskim, prosiłem o pomoc. Przyjrzał mi się uważnie, odciągnął na bok i odrazu przestrzegł, że wśród jego ludzi są ukraińcy, z którymi należy ostrożnie.

Jeśli chodzi o nas, poprowadzi chętnie. Musimy jednak udowodnić hasłem, że mamy prawo do jego pomocy.

Hasło.... Swego czasu na granicy jugosłowiańskiej ewakuowałem, — jak się to mówiło — jednego z naszych oficerów, przybyłego z Kraju, przez zieloną granicę do Armii Polskiej. Gdy mu na wszelki wypadek podawałem hasła serbskich przemytyników, on wymienił w zamian nasze hasła przemytyniczne — wojskowe. Pierwsze z nich wystarczyło.

Uradowany sprowadzam dr. Ch. — pojawiają się i nasi przemytynicy. Nie jest to bynajmniej partia, z którą się mieli połączyć. Przywódca jej, Michał, bo tak go zwa, jest im jednak znany i budzi w nich respekt bezwzględny. Posłusznie przyłączają się do niego, niosąc dalej nasze bagaże.

Zaczął się marz. Ale jakże inaczej się szło. Inny świat, inne obyczaje. Michał prowadził swoją gromadkę karnie lecz i troskliwie, jak dobra matka prowadzi swe dzieci. Widać w nim przewidującego dowódcę, który oszczędza siły swoich, na moment szczególnego niebezpieczeństwa.

Gdzieś koło godziny pierwszej weszliśmy na szczyty górskie, w szeroki pas wyciętego lasu. Śnieżyca i mróz hula tu ostrzej niż w lesie. Przed nami bieleje jakiś słup. Granica... Polska... — Po dwóch latach tułaczki i tęsknoty wracam na swoją ziemię. Betonowy cokół odrzucam mnie jednak znakiem „D”. Deutschland.... piaskrew!... Idę do następnego, oddalonego o kilka metrów, też znak „D”. Całuję ten słup, jako symbol skuteczej przez wroga mojej ziemi, lecz potem wyrwam i zwalam go w śnieg.

Żadnej straży ani śladu nie ma.

Nasi słowaccy towarzysze zaczynają się żegnać, bo muszą iść w bok, na spotkanie odbiorców towaru, który niosą. Nie wiem co by z nami zrobili, gdyby nie nasi „Sarmaci”. Żegnamy się i idąc serdecznie. Bóg z nimi....

Droga od granicy do miejscowości, gdzie mieszka banda Michała wlokła się do godziny dziewiętej rano. Nieludzko zmęczeni, z odmrożonymi przez



jedną noc rękami, nogami, uszyma, a nawet powiekami, dowiekliśmy się wreszcie pod wieś. Tam już zasygnalizowano nasze przybycie. Dochodzimy do domu ciotki Michała, gdzie będzie można wypocząć — podobno nawet kilka dni.

Starą kobietę, która otwiera nam na umówiony, przemysłowy znak drzwi, jako pierwszą Polkę spotkaną na polskiej ziemi całujemy obaj z dr. Ch. w spracowaną rękę. Wzrusza ją to i wywołuje uczucia opiekuńcze, dzięki którym mój towarzysz nakarmiony tonie za chwilę w przepastnych piekarniach, a ja piję już nie wiem który kubek gorącej lipowej herbaty.

Nie zdążyłem jeszcze odtajać i pozbyć się obmarzniętego i mokrego od potu ubrania, a tu jeden po drugim przychodzą przemysłowicy i oddają powierzone im w drodze rzeczy. Wracają do nas nie tylko teczki, ale i pożyczony komuś w nocy moje futrem podbite rękawiczki, nóż i różne drobiazgi. Większej rzetelności i skrupulatności nie można sobie wyobrazić. Ach! Więc to tak wygląda „Kraj” — myślę z dumą i rozrzewaniem. Ostrzegają nas, że w ukraińskiej części wsi zaczyna się nami interesować, a to się może źle skończyć.

Decyduję więc, że zaraz jedziemy do kolej, budzę dr. Ch. i za chwilę ucałowawszy Michała, któremu z trudem udało mi się wcisnąć w rękę kilka dolarów, siedzimy na wozie.

Następne zetknięcie z „Krajem” jeszcze bardziej wzmacnia mnie na duchu. Chcemy jechać do Rzeszowa. Z prasy niemieckiej i pieczętek na listach wiem, że Rzeszów nazywa się teraz po niemiecku Reichshof. Podchodzę przeto do kasy i chcąc być całkiem w porządku, z pewną miną mówię:

— Proszę o dwa bilety do Reichshofu . . .

— Gdzie? — ostro pyta kasjer.

— Dwa bilety do Reichshofu! — powtarzam

— Jak? Gdzie? już teraz krzyczy podenerwowany kasjer, jakiś starszy kolejarz.

— Do Rzeszowa — mówię wreszcie na wszelki wypadek.

— No tak się do cholery mówi, — poucza mnie ów kochany człowiek, nieco już udobruchany.

Zajeżdża wreszcie pociąg. Wypełniony jest ludźmi jakoś dziwnie zbiedzonymi, zmęczonymi i licho odzianymi. Widzę to szczególnie ostro, bo mam jeszcze świeżo w pamięci obrazy życia w kraju, z którego idę, gdzie jeszcze wojna nie dotarła, gdzie jeszcze nie ma ludzi głodnych, nie ma strachu przed nocą z grasującymi łapaczami, jest uśmiech u dzieci i światło bez zaciemniania wieczorem. . .

Wciskamy się w tłum, tak jak z biegiem czasu wcisniemy się w życie tych ludzi, by razem tworzyć ową armię bezimienną i niewyciężoną — armię narodu walczącego o swoją wolność.

Pociąg rusza. . .

## NA CZYM BĘDZIEMY BUDOWAĆ

Gdyby zliczyć wszystkie plany, programy i systemy odbudowy przyszłej Polski powstałe w tej wojnie, można by się zdumieć nad ich ilością i różnorodnością. Polska myśl, głównie zresztą polityczna, docieka, w najcięższych dla siebie warunkach, dużo, wszechstronnie i śmiało. Ogólną i najbrdziej narzucającą się jej cechą jest rewizja. Rewiduje się, rzecz jasna, wstecz. Z rewizji wstecznej wynikają plany, skierowane ku przyszłości. Jeżeli chodzi o przeszłość, głos jest jeden: Polska nie była taką, jaką powinna była być. Stąd prosty wniosek co do przyszłości: Polska nie będzie, nie może być taką, jaką była. Jaką jednakże ma być, nie ma już jednomyślności. Cokolwiek się jednak przypuszcza, cokolwiek postuluje i planuje — punktem wyjścia jest owa zrewidowana, najczęściej potępiona Polska z przed wojny. Jedni chcieliby ją z gruntu przerebudować, inni poprawić czy udoskonalić. Źródła przykładów zlego czy dobrego sięgają według jednych niedaleko wstecz, bo tuż przed wojnę, według innych w głębsze lata i dziesięciolecia — dla trzecich wreszcie daleko wstecz, bo do czasów romantyzmu i wcześniej, do Polski Jagiellońskiej, nawet do Chrobrego.

Zaletą powszechnej tej rewizji jest wielka szczerość i żarliwość oraz chęć przełamania błędnego koła pojęć, w którym zostawiliśmy za sobą Polskę przedwojenną. Miną, która ma je rozsądzić jest, niemal według wszystkich szersze i surowsze, niż dotychczas, zrozumienie dobra ogółu. Ogół ów oznacza najczęściej naród, niekiedy lud, rzadziej niektóre klasy społeczne. Błędy i niedostatki w przeszłości osądź się ostro i okrutnie, cnoty i powodzenia gloryfikuje śmiało i bałwochwalczo. Przy

przewadze roboty burzycielskiej, idzie jednakże i odkrywca. Raz poraz wydobywa się z naszej przeszłości coś, co było jakoby nieznane, niedocenne, umyślnie schowane w cień. Szczęśliwy odkrywca takiej nowej wartości buduje już na niej przyszłość z całkowitym zlekceważeniem czynników innych. Jak nie miał miary w potępianiu, tak teraz niema wachania w gloryfikacji.

Co o tym sądzić? jak znaleźć obiektywny miernik spraw i idei, zaprzatających dziś umysły Polaków? Które z nich uznać za historycznie trwałe i twórcze? Czyż uzasadnić powszechne przekonanie, że przyszłość będzie rzeczywiście lepszą, doskonalszą, inną od tego co było?

Jest to, jak wiadomo zależne od przekonania i wiary, którą się samemu wyznaje. Obok tego archyindywidualnego czynnika — istnieją wszelako i sprawdziany bardziej obiektywne. Dla dj lektyki, jak obecna, wybitnie teoretycznej, sprawdzianem obiektywnym jest przede wszystkim rzeczywistość. Ona bowiem stanowi budulec, z którego powstać muszą najśmielsze choćby i najbardziej idealistyczne zamiary. Nikt jeszcze nie pchnął świata naprzód, godząc się z tym co jest i było. Ale i nikt nie stworzył nowej jego postaci, chcąc go zbudować z czegoś, co nie istnieje.

Pomiędzy Polską, która była, i tą, która ma być, znajduje się ta, która jest dziś. W rozumowaniu historycznym, takie „dziś” nie może być przejściową chwilą z jednego dnia w drugi, oznaczać tylko musi pewien charakterystyczny stan o swoich już i utrwalających się cechach. Polską dzisiaj za jest więc Polska od września 1939 po ostatni dzień. W dociekaniach ideowych i progr. mo-



wych jest ona całkowicie niemal skreślona. Uważamy ją za twór przejściowy, coś w rodzaju chaosu wojennego. Był jej realny nie obchodzi nas. Myślimy i działamy tak, jakby jej nie było. Zarabiamy na życie, wszystko jedno jak, bo przecież trzeba żyć. Posyłamy dzieci do szkół, aby nie traciły czasu. Czytamy gazety, słuchamy głośników, bo chcemy wiedzieć co się dzieje poza nami. Kupujemy słoninę i bułki na rogu ulicznym, bo je ktoś przeschławił, odbieramy towary kontygentowe, bo je nam ktoś przydzielił. Płacimy podatki, rejestrujemy się tak i siak i dziwimy się w głębi ducha, że jeszcze istnieją jakieś władze i instytucje, prócz tych, które dybią na naszą całość i na nasze życie. Niekiedy wyjeżdżamy na wieś i wówczas zaskoczy nas nieco obraz Polski, wzrokowo niemal niezmiennionej i chyba nie daleko odbiegłej od tej która nam się po nocach śni wspomnieniem przeszłości, czy wizją przyszłych czasów. Więc są jednak pola obsiane, są lasy, są wsie i kościółki wsiowe, są ludzie we wsiami, oddani dawnym, polskim obyczajom. Wydać i dwory i koło dworów folwarki. Ktoś jedzie koniami w sąsiedzkach, gdzieś szumi ludowe wesele. W miasteczkach odbywają się targi i jarmarki. Jak kiedyś... jak dawniej. Wrażenie zresztą wkrótce przemija. Czasami od razu na miejscu, gdy na jakimś gospodarstwie czy budynku użytecznym ujrzymy obcejzyczny sztyl lub sztandar ze znakiem swastyki. Czasami dopiero po powrocie do miasta. Świadomość istnienia jakiejś codziennej, rzeczywistej Polski nie może utrzymać się długo, skoro wpadamy od razu w wir wiadomości i wydarzeń patetycznych i groźnych, wzniosłych i okropnych z frontów walki dalekich i bliskich a tak nie mających nic wspólnego z codziennym życiem, jak powódź ze zlewem kuchennym. Polska dzisiejsza istnieje wówczas dla nas tylko w legendzie spisku i ofiarach narodowych, składanych na ołtarzu walki z zaborcą. Z tą, — owszem — liczymy się i pragniemy liczyć. Budujemy na niej nadzieje, nieraz bardzo śmiałe. Inna nie ma żadnego dla nas znaczenia.

A jednak wojna trwa już blisko cztery lata. Cztery lata wojny, takiej jak obecna, to wiele, bardzo nawet wiele. Jakie spowodowała zmiany mechaniczne, wiemy i pamiętamy, choć myśleć się nam o tym nie chce. Całe połać kraju zostały przetrzucone z miejsca na miejsce, całe warstwy społeczne przemieszane i rozbite w puch i proch. Bogacze stali się nędzarzami, łapersdaci bogaczami, wielcy i wpływowi upadli, bezimienni doszli do wpływów i władzy. Z dzielnic zachodnich cały potok energicznych i przedsiębiorczych ludzi zalał Polskę środkową. Ludzie ci wrosli już w nową dla siebie glebę, żyli się z nią i wywierają wpływ na miejscowy typ człowieka, przejąwszy naodwrot od niego wiele swoistych cech. Opuśczone przez żydów dziedziny życia zajął człowiek do wczoraj nam nieznan i wczepił się w nie mocno i krewko, tworząc bardzo liczną i nową warstwę ludności. Miliony ludzi odpytnięty na roboty przemysłowe, gdzie niezawodnie ulegają jakimś przeobrażeniom i zmianom, na które nie mamy wglądu i wpływu. Jeżeli nawet nie nauczą się niczego, zobaczą świat niepodobny do naszego i nasiąkną nim bezwiednie z tą pochopnością, z jaką człowiek prymitywny przyswaja sobie zewnętrzne cechy cywilizacji. Równoległe do tych cichych i przeoczanych przemian, idzie nieustanny przemiał, spowodowany przez narzędzia okupacyjnego terroru. Ten siega w głąb

i pracuje celowo, godząc w istotę duchowej i materialnej naszej kultury. Wybicie bardzo już dużej części inteligencji wszystkich zawodów i rodzajów będzie jego najjaskrawszym przejawem. Nie ludzie tylko jednak zginęli. Znikł przecież także cały nasz aparat kulturalno - społeczny w instytucjach, stowarzyszeniach i związkach, w których gromadziło się od wieków nasze dobro publiczne. Czteroletniemu przymusowemu bezrobociu organizacyjnemu — towarzyszy także bezrobocie nauczania w wyższych i średnich zakładach. Na miejscu jego forsuje okupacja typ wychowania praktycznego o jaknajwyższych założeniach humanistycznych.

Nie są to zwykle klęski wojenne i nie ma żadnego dla nich przykłądu w nowoczesnych dziejach. Oceniając je z najgrubsza, można jednak dojść od razu do jednego niezawodnego wniosku. Społeczeństwo polskie uległo i jeszcze bardziej ulegnie w tej wojnie niezmiernie silnemu przesunięciu w kierunku warstw prostego psychicznie i pojęciowo typu, o nastawieniu praktycznym i realnym. Z czego wniosek dalszy: inteligencja typu spirytualnego, która mimo ciężkich strat wciąż prowadzi dyktat polityczny i kulturalny, wystarczający aż nadto na wypełnienie nurtów podziemnych i emigracyjnych — stanie powojnie w obliczu masy narodowej o wiele mniej pochopnej i uzdolnionej do przyjęcia jej rozbudowanych programów, niż działa się kiedykolwiek w czasach przedwojennych.

Z przemianami mechanicznymi idą jednak i przemiany moralne. Nie będziemy się zastanawiać nad sumą zjawisk, znanych ogólnie, jako t.zw. demoralizacja wojenna. Zdziczenie obyczajów, schamienie, rozprężenie jest „normalnym” następstwem każdej wojny. W tej wojnie spadły jednak na nas i inne dodatkowe niebezpieczeństwa. Zaborczość niemiecka, w stosunku do nas niezrozumiale aż nienawistna, spowodowała, że nad Polską powstał stan „ex lex” na całym niemal polu moralnym i materialnym. To co się stało w Polsce nie jest zwyczajnym podczas wojny ograniczeniem rodzimych praw i pojęć, nie jest nawet zaostreniem stanem wojennym, kiedy rządzą sady doraźne i prawo wojenne, ale przekreśleniem wszystkich niemal ludzkich praw, jakie przysługują tradycyjnie narodom cywilizowanym i wychowanym w kulturze zachodniej. Mówiąc praktycznie: każdy naród zachodni, uczciwie pracujący, ma prawo do życia, w jakikolwiekby się warunkach znalazł. Polska go nie otrzymała. Każdy naród chociażby podbity zbrojnie ma prawo do swej ojczystej kultury. Polska go nie otrzymała. Ponieważ jednak chciała żyć i pozostawać wierną sobie — stworzyła sobie życie poza wszelkim prawem.

Oddani walce i pochłonięci walką, znamy je i oceniamy od strony heroicznej. Z przejściem obserwowujemy jego wniosłe przejawy, ale granic, gdzie kończy się naprawdę ofiarna i śmiertelna walka o dobro publiczne a zaczyna się awantura wojenna nieraz i nikczemnej miary, nie pilnujemy dość uważnie i kategorycznie. Stąd cięży nad nami jakaś wielka atmosfera rezgoryczenia, obejmująca wszystkich „dobrych pol. ków”, cokolwiek by robili i jakkolwiek by żyli.

Kontrola publiczna (publiczna znaczy tyle, co podziemna) działa tylko na pograniczu polsko niemieckim, ale i tutaj bystrość jej i uważność koncentruje się na zjawiskach politycznych. Reszta, cała ogromna reszta życia, puszczona jest luzem. Nietylko pojedynczy ludzie, ale i całe ich warstwy



rzadzą się wskutek tego, jak chcą. Salwując swą nieprzystępność wobec „zakusów” zaborcy, co trzeba powiedzieć, tylko dla nielicznej, aktywnej części narodu związane jest z ofiarą lub niebezpieczeństwem — salwujemy niejako całe swe imię, cały swój honor, jako dobrego polaka i obywatela. Jest doprawdy rzeczą przerażającą, jak wiele trzeba dziś, aby być naprawdę dobrym polakiem, a jak mało, aby za niego uchodzić.

Zanarchizowanie moralne spowodowane stanem „ex lex” objęło w różnym stopniu wszystkie warstwy narodu. Gdybyśmy byli społeczeństwem niższego rzędu, po wierzchu tylko dotkniętym cywilizacją, sprawa potoczyłaby się może tak, jak tego życzyli sobie Niemcy t.j. rozbięciem na bezwolny chaos, który koniec końców przyjąłby z ich ręki każdą formę niewoli. Byliśmy jednak narodem gruntownie oswojonym z kulturą i jej metodami życia. Skoro możliwość zorganizowania się na podstawie jakiegokolwiek ludzkiego prawa została nam odjęta — zorganizowaliśmy się poza prawem. Miejsce anulowanych zrzeczeń i instytucji zajęły mafje. Jest ich w Polsce dzisiejszej mnóstwo, różnorodnego typu. Najbardziej proste ich zjawiska ujrzymy w świecie interesu. Któż nie miał do czynienia z potężną mafją „szmuglerów”, rządzącą się swym własnym obyczajem, moralnością i prawem? Wiemy również o mafjach waluciarzy i handlarzy złotem, „opałowców”, cukrowników, tytoniarzy, gazeciarzy... handlarzy wódka, jarzyniarzy, młynarzy... nasienników. Mafjami stały się i urzędy skarbowe, celne, samorządowe, mafją jest kolej i poczta. Każda z nich ma swój sekret zarobku, sekret wewnętrznej hierarchii, dyscypliny i egzekutywy a także i swój wewnętrzny „kodeks” moralny, gwarantujący samorodną uczciwość w wewnętrznej i zewnętrznej działalności. Są mafje innego typu, uchodzące i regionalne, jak n.p. mafja pomorzaków, ślązaków i poznaniaków. Mafjnie ponad potrzeby podkiewane konspiracje grupuje się i rządzi życie polityczne. Mafijność sięga i w życie kulturalne, zamykające się w specjalnych, ideologicznych programach. Mafjami wreszcie największego już typu stają się w dużej mierze i całe starostwa społeczne, te zwłaszcza, którym wojna stworzyła dogodną sytuację materialną.

Nie można żyć poza mafjami, chyba po tamtej stronie „barykady praw” t.j. wśród volksdeutschów, stamdeutschów i obcokrajowców jak „górale”, ukraińców, Rosjanie i przyłepieni do nich satelici.

Mafijność z biegiem wojennych lat ulega coraz większemu zaciśnieniu i struktura jej wewnętrzna wzmacnia się i utrwala. Wrosły w nią człowiek dochodzi wewnątrz niej „pełni” swobód i praw, o jakiej się nie śni dzisiaj wielu pełnoprawnym obywatelom Europy. Wewnątrz mafii wolno bowiem wszystko, co nie szkodzi jej interesom. Mafji nie wolno zdradzić, pozatym można żyć, jak się komu chce. Na peryferjach swych mafja orła ca się oficjalnemu światowi, wtykając, gdzie trzeba, łapówki i w lepszych rzach sumieniu, świadcząc takie czy inne ofiary na rzecz poszkodowanych przez wojnę.

Mówiono o Polsce przedwojennej, że „sitwa” czyli cicha solidarność klasy rządzącej była jej plagą i nieszczęściem. „Sitwa” ta zrodziła się w tamtej wojnie. Jakież horoskopy można by stawić i trząść na „sitwy” dzisiejszych dni? Gdyby obok nich istniał choć jako tako respektowany, jako tak o związany z narodem świat jawnego, powszechnego

prawa, można by je potraktować jako konieczne wojenne zło i skazać poprostu na likwidację. Tymczasem związek ich ze społeczeństwem jest właśnie silny i „życiowy” i nie sposób będzie pominąć ich jako schematu, załącznika, na którym oprze się nowa rzeczywistość polska. Pół biedy jeszcze z mafjami materialnego interesu. Powstałe mechanicznie i mechanicznie dojrzewające, rozleca się mechanicznie z nowym porządkiem rzeczy. „Duch” ich t.j. przyzwyczajenie do samowoli i nienawiść do publicznej kontroli nie zostaną doprawdy przekreślone z tą łatwością, z jaką można zniszczyć ich narzędzia działania, ale wpływu decydującego na życie w nowej Polsce mieć nie będą.

Gorzej przedstawia się rzecz z mafijnością grup społecznych, politycznych i kulturalnych, które postępują i programują przyszłość Polski. Kto obserwuje proces rozwoju ich od początku wojny, zauważyć może posuwające się stale tężenie ich i zamykanie. Dążenie do precyzji jest prawie zawsze związane z postępującym ograniczeniem, jeżeli jednak z postępującą precyzją nie jest związane rozumnie i chęć rozumienia wszystkiego, co znajduje się poza liniami granicznymi przyjętych pojęć i programów, jeżeli dalej, z wykończeniem werbalnym nie idzie w parze żywe świadectwo wartości i siły, obowiązujących postulatów ostatecznie słowo ma wówczas sama pretensja władzy i wpływu, chociażby zaprzeczana jaknajbardziej zapalczywie i szczerze.

Gdybyż choć która z owych sprzysiężonych grup okazała w okresie wojennych prób jakąś szczególną wartość, tężynę i siłę moralną, wyróżniającą się ponad inne i pozwalającą rokować o przodowniczym jej stanowisku w przyszłości. Nie widzimy tego. Żyjemy doprawdy w ciemnościach i istotna gra sił, zmagających się w podziemiu jest nam nieznaną, ale gdyby istniała naprawdę jakaś wybitna, stanowcza przewaga jakiegokolwiek z ideowych czynników, musiałyby przebić każdy mrok.

Skończmy jednak z mafjami i spróbujmy z całkiem już szerszego stanowiska ocenić, jak dziś po czterech latach wojny wyglądają całe warstwy narodu. Czy przeszły jakieś zmiany dość głębokie i silne, na których można budować przypuszczenia o blisko i daleko idących przeobrażeniach? Odpowiada się na to łatwo i ogólnie, że naród polski przeobraził cierpienia. Wszystkie jego warstwy zostały dotknięte nieszczęściem a odporność, jaką okazały w próbie, uprawnia do jak największych nadziei w chwili, gdy nastanie swobodna gra sił. Wiadomo jednak, iż nieszczęścia człowiek zapomina szybko. Polak zaś podwojnie szybko. Gdyby nie ta zdolność zapomniania, kraj nasz chodziłby okryty ciężką żałobą. Tymczasem krząta się zmagając i żyje z niesamowitym niekiedy lekceważeniem i rzeczywistości.

Najlepiej biologicznie wychodzi z tej wojny wieś. Z roku na rok coraz to większa część narodowego stanu posiadania przechodzi do jej rąk. Pomimo, iż w miastach kupi się całe niemal spirytualne życie narodu, wieś staje się ośrodkiem głównym jego życiowej substancji. Ona salwuje to co jest, ona inwestuje, ona gromadzi i niekiedy nawet idzie naprzód. Czy jednocześnie z tym procesem rozwija się i rośnie we wsi poczucie odpowiedzialności za losy narodu?

Dwie są warstwy społeczne, charakterystyczne dla naszej wsi: ziemiańska i chłopska. Pierwsza jest wielką kartą w przeszłości, druga wielką szansą na przyszłość. Czy można powiedzieć, że zie-



mianstwo zdradzi w tej wojnie chęć zatrzymania swego historycznego upadku i pragnie zapanować nad swymi znanymi władami, jak egoizm stanowy, wąski horyzont widzenia, brak zmysłu gromadzkiego i niepomamowana żądza wyżywiania się w dość pospolitych namietnościach? Nie sposób zaprzeczyć, iż część ziemiaństwa i to znaczna okazuje w tej wojnie szczodłą i chętną rękę i co ważniejsze ludzką i zacność w stosunku do dotkniętych niedolą rodaków, ale mało kto sięga obywatelską wyobraźnią poza misę kuchenną lub dworski stół. Nieoczekiwane, niekiedy fantastyczne zarobki wojenne spowodowały pewien stan oszołomienia materialnym powodzeniem, obejmujący całe połacie kraju z Lubelszczyzną i warszawskim na czele. Po pierwszych dwu latach ostrożności i pewnego skupienia przedarł się stary temperament szlachecki i puścił się w życie „*va banque*”, często dosłownie za zielonym stołem. Patrząc na warstwę ziemiańską, już nie na tle głębszej historii, ale choćby na przestrzni, dzielącej nas od ostatniej wojny, nie sposób nie zauważyć dalszego spadku jej historycznych ambicji. Zachowanie samych siebie i swego stanu posiadania, w lepszym razie umocnienie siebie i swego majątku zdaje się być jej głównym celem i zadaniem.

Odmienny proces przechodzi wieś chłopska. Ambicja historyczna chłopów potęguje się stale od kilku już dziesiątków lat. Wojna obecna spowodowała niewątpliwie jej gwałtowny wzrost. Czy jednak równoległe z nim, zaszły we wsi zmiany, pozwalające rokować, że słusznie historyczne pretensje chłopstwa do wielkiej, jeśli nie przodującej roli w narodzie — opierają się na wzmożonej świadomości obywatelskiej, wraz z wszystkimi wynikającymi z tego obowiązkami? Przemiany zachodzące we wsi natrudniej jest wysledzić. Życie jej było i jest mało dostrzegalne dla innych warstw narodu. W Polsce zwłaszcza za hermetyczność wiejskich procesów życiowych i rozwojowych była wyjątkowo wielka. Skądżeś inaczej wzięło by się powiedzenie, że chłop jest „zagadką”?

Otóż trzeba stwierdzić, że dopóki wieś będzie właśnie żyć „swoim” życiem, póki wgląd w nie będzie trudny i kłopotliwy — tak długo nie sposób obliczyć jej realnych szans w całości narodowego bytu. Wojna obecna nie przyniosła koniecznych przejaśnień, wręcz przeciwnie, zatarła niejedno porozumienie osiągnięte już przed wojną. Penetracja wzajemna pomiędzy wsią i miastem wsią i miasteczkiem, nawet wsią i dworem niemal że dziś nie istnieje. Zapewne już sam przebieg naszego narodowego dramatu we wrześniu 1939 pozwoli wnioskować, że wieś odczuła klęską na równi z całym narodem i zastanawia się nad nią. Postawa jej następna wobec zaborki nie odbiegała wiele od ogólnej, poza przykrym wypadkiem na góralszczyźnie. Być może, iż, niezależnie od tych czy owych przesiedleńczych klęsk wieś wzrosła gospodarczo, nietylko w powiększonym stanie posiadania ale i w świadomości wiedzy gospodarczej. Być może, że zorganizowała się wewnątrznie silniej, niż dotychczas. W obliczu koniunktury wojennej okazała się przezorniejsza, ostrożniejsza niż ziemiaństwo, choć bardziej od niego nieuczynna i bezwzględna. Z wojny wyjdzie silniejsza niż była.

W stosunku jednak do reszty narodu z izolacji swej, jak dotąd nie wyszła. Nieprzejrzysta, jak dawniej, nie zapowiada dojrzałych zmian w do-

tychczasowych relacjach z innymi warstwami, gospodarczych, społecznych i kulturalnych.

A miasta? O roli owej szczególnej, polskiej warstwy społecznej, zwanej inteligencją, już wspominaliśmy. Słusznie czy nie, niesie ona na swych niezbyt już krzepkich barach cały niemal ciężar odpowiedzialności za losy narodu. Zapalczywa i wytrwała, skłonna do poświęceń aż do samego dna ludzkiego losu, przebija się przez wojnę z chwałą, ale i ogromnym uszczerbkiem liczebnym. Odnawia się i uzupełnia z własnego środowiska. Szczególnym znameniem obecnej walki jest właśnie owa heroiczka coraz to szerszych warstw inteligencji — ale tylko inteligencji. Równoległe z nią, a niejednokrotnie i razem, biegnie podobny proces wśród proletariatu, który również uzupełnia wyłom w swej kadrze z dość zamkniętego, tradycyjnego i wypróbowanego środowiska.

Obok tej ideowo i kulturalnie dojrzałej inteligencji i proletariatu, narasta jednak podczas wojny masa mieszczańska i półmieszczańska, dla sprawy publicznej obojętna, życiowo przebiegła i bezwzględna, we wszelkiej okazji piekielnie zręczna — na peryferiach swych moralnych, skłonna do sprawek, od których „bieleje włos”. W miarę, jak ubywa pierwszych, tych drugich przybywa. Rzekoma tężyzna tej warstwy w żadnym razie nie pokrywa jej ubóstwa kulturalnego i moralnego a nadzieja, że oto Polska „nareszcie” otrzyma zdrowy i silny stan mieszczański, są o tyle płonne, ile czasu upłynie i upłynąć musi, aby w tę masę prymitywną i dziką, tchnącą, drakońskimi — być może środkami, obywatelskiego ducha. Jest to narazie surowiec budulca a nie budulec społeczny o wyrobionym już, obliczalnym gatunku i formie.

Wreszcie... emigracja. Nie wiemy o niej wiele, ale na podstawie danych, które nas dochodzą, możemy przypuszczać, iż żyjemy tu, w kraju, o wiele szybciej, insensywniej a może i poważniej od niej. W dość mglistym obrazie widzimy ją jako świat dawnych naszych nawyków, przyzwyczajęń i poglądów, do którego nie będzie całkowitego powrotu. Powracająca z emigracji kadra napotka w kraju na wiele faktów dokonanych i nieodwracalnych, i trzeba przewidywać niejedną konflikt, nim nastąpi wzajemne wyrównanie.

Rozważywszy wszystkie te elementy powinniśmy już dzisiaj spojrzeć w oczy trudności i niebezpieczeństwom, w jakich się znajdzie Polska powojenna, tak w wyobraźni naszej wyidealizowana. Świadomość że ją będziemy budować nie z naszych życzeń i programowych założeń, lecz tylko według nich, z realnego budulca, dostarczonego nam przez wojenne lata — winna nas skłonić do zwrócenia bacniejszej, niż dotychczas uwagi na wszystkie zjawiska otaczającej nas rzeczywistości i skłonić do szybkiej i kategorycznej poprawy usterek i błędów, nie jutro gdy Polska nastanie, ale dziś, w każdej chwili i okoliczności życia.

Jeżeli groźną jest wznosząca samowola i anarchia, trzeba ją zwalczyć. Maffi nie zacieśniać a wiązać w całości lub szkodliwie tępić i rozbijać, wśród warstw społecznych zaostrzyć i podnieść kontrolę wewnętrzną i otworzyć szeroko penetrację wzajemną — ohyde ciemnych wojennych afer piętnować kategorycznie i karać, nietylko tam, gdzie stanowią formalną „zdradę” narodu.

Polska nie spadnie przecież na nas, jak objawie nie a tylko podnieśli się z okropnej poniewierki, nie-



sąc w sobie wszystkie zarodki przyszłości, która ją czeka. Dla szybkiego powrotu do pełni sił potrzeba jej czystego powietrza. Umieliśmy się zdobyć na

ofiary, zdobądźmy się jeszcze i na konieczną dyscyplinę, aby go jej nie zabrakło.

### TEMPERAMENT I SĘPY

Jak wspaniałe nasze plany,  
Mysł nieznaney losów zmiany!  
Tam na szczytach, wśród gałęzi  
Moc projektów mózg nasz więzi.  
O czym nie śmie marzyć puszczą  
I poziomych zwierząt tłuszcza,  
Nasz to lotny geniusz płodził  
Chciałbyś wiedzieć o co chodzi?  
O to, żeby... ba! strącony  
Orzech goni wrok znecony...  
Wyszło z głowy. — Mniejsza o to,  
My z ochotą  
Ciągniemy siebie za ogony.

Rudyard Kipling: Śpiew  
Bandar - Logu.

Jesteśmy narodem z fantazją, i z temperamentem. Cóż dziwnego? Wszak ułaństwo leży nam po-  
ć wszystkim w krwi, a i nie w krwi tylko. Zakonspirowany albo i jawny zagończyk rozstrzyga  
w nas przecież tak często o najzawilszych sprawach  
tego i tamtego świata, bo „niemasz pana nad hu-  
łana” i niemasz nad ułańską szarzę, co poprostu  
i bez niezdrowych namysłów, każda jakoby łamie  
przeszkodę. W tym zagończykowskim rozumieniu  
żyć, to znaczy mocno i bujnie i nieoglądając się na  
nic wypalić się, wyżyć się aż do samego dna, do  
samej śmierci. Znaczący wspaniałym rozpędem Samo-  
sierry przejechać się po brzuchach nietylko  
prawdziwego a jeszcze częściej domniemanego wro-  
ga, ale i po — swoich własnych. Przy takiej wizji  
życia jedynie obowiązującym i godnym polskiego  
rozmachu jest ów ułański „point of view”: z konia.  
Z konia lubi polak patrzeć na świat i tyle go wi-  
dzi, co go z konia ogarnąć potrafi. Rzekłby ktoś:  
„konny światopogląd”. Tak było dawniej, gdy „kę-  
dyś, gdzieś tam harde dusze, półwariackie animusz”  
szlacheckich panów braci z konia się wyzywały,  
dumnie roztrącając pierśią rzeczywiście i nierze-  
czywiste burze i nawałnice. A i dziś jeszcze owa  
szlacheczyzna ekstatycznego wyzycia się buzuje  
w naszych żyłach, choć ludzą się poniektórzy, że  
z odejściem szlachty ze stanowiska przodującej  
warstwy społecznej odmienia się i chemiczne skład-  
niki naszego charakteru narodowego a miejsce kul-  
turowego temperamentu i ułańskiej bujności inne zajmą  
cnoty. Złudzenia! Lud nasz, inteligencja, a nawet  
drobnomieszczaństwo i proletariat tak samo mają  
ulańską we krwi, jak miała go ongiś szlachta, i tak  
samo marzą o Samosierrze, niektórzy z przymiot-  
nikiem „rewolucyjnej”, co z konia zdolna uładzić  
świat. Pod maską niejednego ideału „wywrotowego”  
to się właśnie kryje — zagończykowski tempera-  
ment. Tajemnicze bowiem prawo dziedziczności  
zbrojnej sprawia, że zarówno wady jak i cnoty  
dawnej szlacheckiej społeczności zmartwychwsta-  
ją w jej następcach, a w jakoby antyszlacheckim  
ludzie grają, buńczucznie i czupurnie, te same nie-  
okielzane animusz, co ongiś grały w szlacheście.  
Zostawcie je tylko sobie, te „antypody” społeczne,  
a pokażą one, że nie w kontuszu tylko tkwi szla-  
cheteczyzna. Hulanus zaiste immortalis!

Niejedno oprawda zawdzięczamy temu, że  
zagończyka i rczykanta tak mocno mamy w krwi.  
Ten zaczićrzysty witalizm, ta butna i błażna uczna

temperamentowość ratuje nas zawsze w chwilach  
— potopu, bo poprawdzie są to też cnoty „potopo-  
we” (by nie rzec przedpotopowe). Kiedy walka  
o istnienie sprowadza się do najpierwotniejszych  
form odporu, najniespodziewanej zdawałoby się  
odżywa w nas zagończyk i desperat, choćby w arcy-  
miniaturowej formie dzisiejszego warszawskiego  
„szmuglera”, i kto wie, czy naród polski ostałby się  
w okrutnych burzach dziejowych, jakie raz po raz  
przemiatają nasze ziemie, gdyby owo ułaństwo nie-  
śmiertelne, nie to liberum veto temperamentu, które  
mimo wszystko pozwalają przetrwać wszelkie  
zawieruchy. I choć są to cnoty „potopowe”, cnoty  
przetrwania, to więcej nawet jeszcze zapisać moż-  
na na ich habet. Kto wie bowiem, czy nie zatra-  
ciłibyśmy jednego z najistotniejszych naszych wal-  
orów, który nie tak dawno, bo niespełna cztery  
lata temu, kazał nam przemożnemu wrogowi od-  
powiedzieć: „nie”, czy nie wyrekliśmy się czegoś  
naprawdę niezmiernie cennego, gdybyśmy się  
zaparli onego w nas zagończyka, co w chwilach  
rozstrzygnięć każe nam życie a nawet byt narodu  
jak kamień rzucić na szaniec? I kto wie, czy  
Polak nie przestałby być Polakiem i osobnikiem  
w rodzinie narodów o własnej twarzy i charak-  
terze, gdyby za sprawą jakiegoś cudu czy katak-  
lizmu dziejowego zdołano w nas wytracić zdol-  
ność do tego nieobliczalnego może w skutkach,  
ale pełnego świetnej determinacji i dlatego o zdro-  
wio świadczącego odruchu, którym społeczność na-  
sza wyżej stawia imponderabilia honoru nad pakt  
z niesławą i przemijające a maluczkie korzyści?  
Popatrzmy tylko na potomków wojowniczych Hu-  
sytów a szanownych naszych sąsiadów, którym tak  
nie do twarzy w ułańskich rabatach, a zobaczymy,  
co utracić moglibyśmy, gdyby odszedł nas ów za-  
gończykowski wigór, który czyni niespokojne dusze  
polskie tak niedostępny dla kompromisu, tak har-  
do stawiającymi się przemocy świata.

Tak, wszystko to prawda, i bez trudu dałoby  
się ułożyć wspaniałą apologię tej postawy, ale  
pochwała taka zawierałaby niestety tylko część  
prawdy. Istnieje bowiem jeszcze druga strona  
tego medalu, a gdy ją uwzględnimy w po-  
wszechnym rozrachunku, niejedna z cnót, co zdaje  
się błyszczyć tylko świetnymi barwami kontusz-  
owych altembasów, okaże się podszytą nie tak znów  
cnotliwą podszewką.

Cóż bowiem, jak nie ów podświadomy nieraz  
kult temperamentu, tkwiący u dna „ulańskiej” po-  
stawy, czyni nas narodem głuchoniemych? Tempe-  
ramenty nie lubią słuchać i nie liczą na to, by  
były słuchane. Sobie tylko żyją i kwitną, i nawet  
nie Bogu. Nie uznają one dialogu ze światem, a jak  
Hamlet okazuje nieodpartą skłonność do monologiz-  
owania. Są przerażająco samowystarczalne i dla-  
tego właśnie całe ich istnienie jest jedną wielką  
monologią. Jeśli co słyszą — i to czasami tylko  
i niedokładnie — to siebie jedynie, i jeśli się po-  
rozumiewają, to z sobą tylko ... w oddzielnosci. Takie  
obcowanie z własną tylko sobiepańską osobo-  
wością buduje wokół nich rzeprzeniknięty po-  
czerz, zamykający je w beznadziejnym odosobnieniu,  
którego nawet nie odczuwają. To bowiem, co ist-  
nieje po tamtej stronie przegród, chroniącej ich



arcyważną indywidualność, ani nie jest dla nich dostrzegalne ani nie uważają tego za coś, co dostrzegać warto. Płoną więc sobie samotnie i wyzywają się pozornie w granicach swego tylko ego, owe dziwnie pustelnicze stwory, nie kontrolowane w dumny i dziecinny splendid isolation przez nic i przez nikogo, gdyż świat... Czy świat, pytają, wogóle istnieje? Czy nie jest on tylko „materiałem temperamentu” ścianą, którą zbudował tajemniczy ktoś poto tylko, by ją oświetlały blaski, idące od nieustannych protuberancji samotniczej samowspañalności? W żąnym konnym światopoglądzie niema miejsca na świat, a jeśli istnieje on, to jako obfok, jako „domniemanie”, jako fikcja pomocnicza, i nigdy mając ów nie jest w stanie przeskoczyć temu, by równo, prosto i bez przeszkód były w niego ognie temperamentów, jako że temperamy nie znoszą komplikacji.

Przy całej zawilosci ich wewnętrznych perypetii, prostota jest ideałem temperamentu. Nie nęci ich problematyka, a nawet wręcz żywią do niej odrazę. W głębokiej pogardzie mają wszelką „filozofię”, wszelkie paranie się mózgiem i jego sprawami, gdyż czują instynktownie, że jest to coś, co grozi istnieniu ich tak dobrze obwarowanego niedostrzeganiem tusculum duchowego, tego folwarczku, gdzie czują się pewni, gdyż z sobą tylko tu przystają, i gdzie im nic uczuć ni marzeń nie męci. Ale świat jest łsem. Nie wybiera się go, lecz jest on nam dany, i choćby temperamy niewiedzieć jak się go wyrzekały i nie dostrzegały go, mimo to i naprzekór im on — istnieje. Są chwile w życiu temperamentów, kiedy ten cień niepożądany, świ tem zwany, zjawia się im i ustąpić nie chce. Niemile to co prawda chwile, ale trudno — skoro raz stały się ich przygodą, nawet temperamy tego unicestwić nie mogą. A cień żąda dialogu, czegoś, co jak wiadomo, w tym prywatnym folwarczku duszy lubiany nie jest. Od czegoż jednak ideał prostoty? Od tego, aby tę rozmowę z cieniem ukształtować według biblijnego nakazania: „a mowa twoja niechaj będzie tak — tak, nie — nie”, jak przystało na istoty słyszające i słuchające tylko siebie, nieme i głuche, dla których „wspólny język”, język porozumienia, jest czymś równie zbytecznym jak i niemożliwym. Dlatego nawet cień świata nie jest zdolny nawrócić ich na ... problematykę, tym bardziej, że zdołały one sobie stworzyć własną namiastkę języka. Namiętności, tak zwie się ten surogat. Na wszystkie racje i wątpliwości, jakie mógłby wytoczyć ów niepożądany interlokutor, świat mający na imię, temperamy, jak smok w drugim akcie „Zygryda”, odpowiadają ogniami i ... dymami namiętności, które uzasadnień przecież nie potrzebują. Ta metoda dialogu uważana jest za szczególnie właściwą, gdy świat zajdzie temu dziwnego autoramentu pustelnikowi w postaci drugiego — temperamentu. Burza idzie wówczas na burzę, płomień na płomień, by wytracić się wzajemnie i wyniszczyć, bo to jedyna forma porozumienia, na jaką stać „czyste” temperamy. Że w pewnej chwili rozmówcy, jak za dawnych, dobrych, sejmikowych czasów, muszą się uciec — choćby symbolicznie tylko do korda, to rzecz równie naturalna jak to, że jako głuchoniemi ani się wzajemnie rozumieją, ani zrozumieć chcą lub mogą. Między temperamentami porozumienia być nie może — tu wszystko zafatwia się krzyżową sztuką. I w tym szukać genezy wszystkich polskich niezgód, wszelkiej polskiej anarchii, wszys-

kich lekkomyślności, swawoli i samowoli: w powszechnej głuchoniemocie temperamentów, co uczuciem, czyli pasją, schodzą z drogi niewygodnej, problematycznej życia i takiemże samym uczuciem przeskoczyć usiłują niepożrebny i nienawistny mózg, to wyklęte siedlisko wszystkiej myśli i wszystkiego „intelektualizmu”. Niedarmo intelektualista (a choćby inteligent) w równaniu polskiej temperamytki oznacza człowieka nie z tego świata, poprostu idiote.

Za sprawą tej to połączonej głuchoty i niemoły życie polskie upływa w żalonych a często tragicznych solilokwiach; ale choćby odbywały się one w niewiedzieć jak patetycznych dekoracjach, pozostaną tym, czym są: spowiedzią głuchoniemych. Można wejść na Kaukaz i dać się przykuć do skał jak Prometeusz, lecz i to nie zmieni istoty rzeczy. I Kaukaz może być folwarczkiem duszy. Cierpieć można „co któryś z ciągnionych na krzyże”, a i to tragizmu nie da, choć dostępny on jest maluczkim, ale „z dłońmi ziemią bronzowymi”. Tam, gdzie świat jest domniemanem, tam stać się można co najmniej świetlną rakieta, ale nigdy herosem. Nawet męczeństwo nie chroni monologistów przed losem, a tym losem jest — niespodzianka. Zakon pirowany przed ich wzrokiem świat bierz: w kocu odwet i objawia im się wreszcie w swej sraszliwej mocy, ale objawia się tak, jak się objawia dzieciom, przez niespodziankę. Niespodziewanie uderza gdzieś jakiś piorun — a wszystkie pioruny są dla monologistów „niewiadomego pochodzenia” — i rozsypuje się w proch kunsztowny domek z kart temperamentu. „Nagich”, jak mówi Hamlet, wyrzuca los na nieznane wybrzeże. I przychodzi czas płaczu i narzekania. Ten sam świat, który wczoraj nie był nawet cieniem cienia, zmienia się teraz w wyobraźni, choćby zdegradowanego ale Prometeusza, w istotę wstęchmccną a niebwywale złośliwą i przekorną. Piaskami wycierają Prometeuszowie oczki z łez. Któżby w nich poznał onegdajszych bohaterów wyzywania się, ogniste słupy temperamentu. Jaśnie sobiepanów z prywatnych folwarczków duszy, słowem, tych tytów, co dumnie sobie tylko żyli, co Boga samego wyzwac gotowi byli na rękę, gdyby Bóg nie był dla nich w gruncie rzeczy — mimo rzymsko-katolickich metryk onych monologistów — także tylko „domniemanem”? Któżby poznał w nich te buńczuczne figury, co tak chętnie korda się imaly, bo niesta ich było na prosty gest dialogu z „zakrytym światłem”? O hebe is mentis viri! I tym to „nagim” temperamentom, w których sercu ni głowie „myśl nie powstała ni godziny”, co z konia chcieli ładzić świat rzucono już przed stu laty gorzkie i straszne słowa: „sę wam wyżera nie serca lecz mózgi”. Wiek minal od tego czasu, a nad Polską unoszą się wciąż nieprzeliczone gromady sępów.

Rzecz zdumiewająca, że słowami tymi wygłosił najpopularniejszą a tak u nas rzadką apologię mózgu nie kto inny a największy temperament poetycki, jakiśmy może posiadali, najświetniejszy władca wyobraźni, jaki dzierzył poetyckie berło na polskim Parnasie. Po nim wł śnie, który był naprawdę kolumną cgnia, spodziewać się było można wielkiej pochwały „temperamentu”; a jednak to on go, w jego bezmózim kształcie i bar-darlogizmie, jak nikt inny napiętnował. Może więc nie jest tak, jak sobie lada zagónczyk u nas wyobraża? Może mózg nie jest tylko szarym, podłym, złośliwym pajakiem usadowionym w jałm:



ciemnym zakątku ludzkiej duszy i czyhającym z zimnym, skrywaniem okrucieństwem na kolorowe muszki uczuć i marzeń? Może mózg ma także swe ekstazy, niemniej niebosiężne jak zachwycenia uczuć, swe wzloty nie niższe od wzlotów anhelicznych natchnień, swe czary, niemniej uwodne od czarów wszystkich Sezamów wyobraźni? Może mózg wogóle nie jest mózgiem ale jakąś inną potęgą uczucia, innym jakimś jego, czwartym czy szóstym, wymiarem?

Gdyby Słowacki, o którym słusznie już kiedyś pisano, iż linia jego rozwoju da się wyznaczyć dwoma stacjami: u początku, samowoli wyobraźni, u końca z s, dyscypliny poznania „zakrytego świata”, i który jak nikt w Polsce przeszedł drogę od pierwotnych poruszeń serca ku ekstazom mistycznej wszechobecności, drogę równą dantejskiej od piekła do raju — gdyby ów Julek przemieniony mógł nam odpowiedzieć na dopiero co rzucone pytania, to odparłby, że mózg jest janusowym obliczem tego samego bóstwa, którego drugim jest to, co nosi miano uczucia. Powiedziałbym, że niema żadnej antynomii pomiędzy uczuciem a myślą, że oboje z jednego wstały boskiego łona i dla jednego boskiego pracują celu, że czymś w rodzaju upiora jest uczucie, które odzęgnywa się od tego, co zwiemy mózgiem, jak czymś w rodzaju trupa jest mózg, który wypiera się tego, co zwiemy uczuciem. Powiedziałoby dalej, jeśli mózg jest umiarem, to jest i szczodrością, jeśli chłodem poraża, to i pali jak płomień, jeśli równa się dyscyplinie, to równa się i ekstazie. A w końcu rzekłby zirytowany — bo z febrzy nieustannej zawsze miewał irytacje, gdy go niemądrze z wyznań egzaminowali — że tylko słabogłowym i rozlewnisiom wydawać się może, iż mogło być inaczej, i że niewiele wie o duchu ludzkim ten, kto takie stawia pytanie. Potym sięgnąłby może po dziwacznie, rytowanym rękopisem wydany tomik zapomnianego wówczas przez wszystkich poety angielskiego, Williama Blake'a, przysłany mu jako curliozum przez kogoś z Londynu, i począłby roić, iż gdyby nie postanowił był już innymi pójść drogami mitotwórczej wyobraźni, a tworzyć począł t.kie mity „osobiste” jak ów tajemniczy Anglik, to Urizena potoczył by z Luvah, tworząc tak nowego herosa na blake'owskim Olimpie, uzmysławiającego święta Dwójcę intelektu i uczucia. Z tchnących wizjami ust płynęłyby słowa uwielbienia dla „myśli słonecznej złotej”, co scala i sprzęga, jednoczy i kształtuje, jak ta, która weszła popielowym mieczem w nadgoplańskiej ziemi, a teraz groźną wraca kometa.

Ala przerwijmy domniemaną scenę z biografii Słowackiego. To pewne jednak, iż takby odpowiedział ten, któremu żadne tajniki uczucia ludzkiego nie były obce: że mózg jest „może dla nas, śmiertelnych, innym wymiarem naszej uczuciowości, ale Bóg, co świat tworzył, nie mógłby powiedzieć, czy wydzwignął go Swym uczuciem, czy też myślą, bo w ostatnia kregu Reju wszystko ma już jedno święte Imię. A gdy na końcu dwaj stropieni początkujący poeci, którzy do pana Juliusz z pytaniami o naturę ludzkich uczuć z kraju przybyli, jeżeli nie po chrzest — bo tego pan Adam udzielał — to po bierzmow nie peetyckie, powstali z krzesłek i poczeli szurać nogami, żegnając się pan Juliusz rzuciłby im jeszcze przy drzwiach: „A tam w kr ju powiedzcie, żeby myśleli, myśleli, myśleli... Niech nie wiezą tym b nielukom...”. Tu niedbale skinął ręką w kierunku dwóch toników starannie

w safian oprawnych i stojących na etażerze, na których grzbiecie nawet stąd dojrzećby mogli złotem wyciskany napis: Juliusz Słowacki — Poezje. Paryż 1832.

Scena ta nie odbyła się nigdy, choć sto razy odbyć się mogła, i to tak właśnie, jak tu wiernie opisano. „Powiedzcie, aby myśleli, myśleli, myśleli!”

Ale w kraju tak wówczas, jak potym, jak dziś uprawiano kult temperamentów, talentów („talentyzm” jest tylko jormą „temperamentyzmu”) i różnych innych — entów, co, jak pisał pan Cyprian do pana Teofila, „natchnieniem z pracy wykupić się chce”. Krażyły więc nad ziemią naszą miłą chmury sępów i jądła znajdowały — dość. Kto padł ich ofiarą, temu nie było znów tak źle na tym świecie, bo widać: i rumieńce i wesołość na twarzy, „i wogóle” jak mówi gołowski pomieszczczyk. Smutni i bladzi byli tylko ci, które panajuliuszowe sępy oszczędziły. Och, przepędziła ich ta ziemia, i plwała na nich, i bezceściła, i przyjmować nawet w swe łono nie chciała, za tem jeden tylko grzech, że nie wierzyli w ducha pod dwoma postaciami, ale że jak naszemu Słowackiemu jednym im się wydawał janusowym bóstwem. Jeden był to ich grzech, ale w kraju, gdzie myśl i godziny nie postoi, grzech to śmiertelny i śmierć niosący. Stanowiąc prawdziwą „mniejszość narodową” wśród znakomitej większości bujnych temperamentowców, „byczych chłopów”, którymi nazajutrz po styczniowym powstaniu zaludniło się życie i scena Blizińskich, Bałuckich i konsortów, stanowili jednak większość wśród tych, co ginęli w lasach i marli na Sybirach, gdy świetni „zagończycy” z temperamentami isticie ułańskimi, mocno ich wiekiem przeżywali, bo niezawsze wiadomo ubi flat zagończykowski spiritus. Czasami poprostu do handlu. I, jak mówi bajka, tak pozostało aż po dzień dzisiejszy.

Dlatego tyle mamy wciąż temperamentów i tyle nad nami krąży sępów! Uczucie sobie „buja, wodzi...”, coraz bujniejsze puszczając pędy, coraz mocniej gładząc wszystko, co nie jest tylko czystą vegetacją, i rosną sobie dziczki polskie, napróżno oczekując „ogrodnika winnicy Pańskiej”, który by je przystrzygł i uszlachetnił. Chwila dzisiejsza sprawia, że puszcza się i szerzy, jako że „potopowe” są to czasy i potopowe cnoty w nich walor mają, a niepodzielne nad nią władztwo radby objąć kiplingowski lud Bandar-Logu, co także żyje tylko odruchami swego temperamentu, także nie wie co to znaczy, by myśl powstała w sercu choć godzinę, i dla którego świat jest także tylko „materialem igraszki”, jak jest nim dla rodzimych tenp ramentowców, którym los jest jedynie pełniejszą lub mniej pełną sposobnością do generalnego wyzycia się. „Mniejsza o to, my z ochotą, ciągniem siebie za ogony”, brzmi jak hymn puszczającego ludu. A nad wszystkim kołują zawsze czujne, zawsze niezawodne mózgożercze sępy.

Zaiste, niepojęty i wręcz tajemniczy jest nasz strach przed tym, co, parafrazując angielskiego mistyka, nazwać by można „małżeństwem żądy i mózgu”. A jednak niema innej drogi. Musimy zawrzeć czy dokonać w sobie tego nieuniknionego małżeństwa, choćby było ono nawet związkim nie po naszej myśli. Skończyły się — i w nas, i w dziejach — saskie czasy „półwariackich animuszów”, straszne zaprawdę czasy, kiedy na wschodzie naszym i zachodzie rodziły się i narastały dwie stałowe i nieużyte myśli, prusko-niemiecka i ro-



syjska, a my wyżywalimy się jedynie „popuszczając pasa”, choć jak żadnego z sąsiadów stać nas było na wielką myśl państwową, dziedziczkę testamentu Piastów i Jagiellonów. Przyszła wielkość Rzeczypospolitej wówczas leżała prawdziwie na bruku, ale nikt jej nie podjął, i to bynajmniej nie dlatego, by nawet nie kochano swego kraju, ale dlatego, że niefrasobliwe wyżywianie się polskich temperamentów tak nas wtedy rozładowało duchowo i rozbroiło, iż nie stać nas było jako zbiorowość na żadną myśl, która by wyżej mierzyła niż paniekochankowe ekstrawagancje. Raby własnych wegetatywnych instynktów, niezdolni zdobyć się na „myśl słoneczną złotą”, z ekstazy wyżywiania się obudziliśmy się dopiero na matki grobie, a wszystko z tej przyczyny jedynie, że folwarczki stał się kosmosem całym, że wystarczało panu bratu przystawanie ze swą świetną osobowością, że zapomniano dialogu ze światem i wzgardzono wszelką filozofią” o ile jej bardzo niedobrze rozumiany katechizm do wierzenia nie podawał, że zawierzono wegetatywnemu „uczuciu” a mózg swój umieszczono w lamusie, jak niepo-

trzebny sprzęt. Straszliwe to wspomnienia, ale tak długo nie staną się one li tylko wspomnieniami, jak długo nie dokona się w nas samych i w naszym życiu zbiorowym ono małżeństwo mistyczne, co rozum i uczucie, mózg i żądzę w jedno kojarzy stadło. W tym tkwi podstawowy warunek naszego istnienia, bo potopowymi cnotami wegetacji można naprawdę przetrwać katastrofy, ale nigdy zbudować gmach świadomej wolności. I nie bójmy się, że mózg wyjałowi nam tak drogie sercu polskiemu temperamenty. On je tylko wysublimuje. „More brain” — więcej mózgu — wołał do Anglików znakomity G. Meredith, co nam, przy naszym niezbyt głębokim rozumowaniu Anglii, wydaje się wołaniem o sowy dla Aten. Jeśli w Anglii wezwanie takie wielki pisarz uważał za słuszne, to cóż dopiero u nas. Więcej mózgu a mniej temperamentu — wołać powinniśmy i my, zdając sobie zresztą sprawę, że przeciwstawność ta jest tylko facon de parler. Inaczej nie opuszczą nas nigdy czujne, zawsze przytomne i okrutne w swej drobotliwości sępy.

## JASKÓŁKI

## SPOJRZENIA

## NOWA EUROPA

Niczemu innemu, jak coraz bardziej dojrzewającej świadomości, iż w przyszłej, a już niedalekiej Polsce sprawy kulturalne odgrywać będą ważną i doniosłą rolę, przypisać należy to, że już dziś pojawiło się kilka pism podziemnych, poświęconych kulturze polskiej i jej zagadnieniom. Wśród nich „Kultura jutra” zajęła bardzo poczesne miejsce, a ostatni jej numer (3), może najlepszy z wydanych dotychczas, świadczy o rzetelnej pracy i bogactwie zainteresowań. Nie zamierzamy tu pisać „recenzji”, chcemy natomiast stwierdzić pewien znamieny fakt. Wszyscy obecne pisma poświęcone kulturze mają jakiś wspólny ton, będący wynikiem zarówno poważnego, niesfajetonowego ustosunkowania się do spraw tych, jak też świadomego nawiązania do polskiej tradycji kulturalnej i wielkiej polskiej poezji. Można powiedzieć, że zaczęliśmy myśleć o kulturze w jakichś innych, o wiele bardziej naszych, wypracowanych w ciągu wieku z górą dymensjach, i że gdy chodzi o piśmiennictwo, wygląda to tak, jakby wrócić ono miało na te pozycje, jakie zajmowało w swych najgłębszych manifestacjach w epoce z przed roku 1918, epoce, którą ktoś słusznie nazwał epoką „polskich wojen perskich”, a nie bynajmniej „niewoli”, jak to głosiły różne znudzone belfry literackie. Niewątpliwie, nawrót tych „wojen perskich” spowodował tę przemianę i sprawił, że z pod śmietnika różnych Wiadomości i innych „prosto z mostu” redagowanych piśmiideł, wydobywa się wreszcie coś co niema ambicji „nieśmiertelnego felietonu” znakomitego A.S., ale pragnąć i myśleć chce w kategoriach rzeczywistej powagi i sztuki istotnie narodowej. Że nie może to mieć nic wspólnego z jałowym tradycjonalizmem, z przeżuwaniem już sto razy przeżutego, to również rzecz pewna. W każdym razie oznacza to całkowite zerwanie z jarmarcznym zgłębieniem przedwojennego piśmiennictwa w jego jeśli nie najwybitniejszych, to niewątpliwie „najgłośniejszych” przejawach. Żadne „Wiadomości Literackie”, lewe czy prawe, nie wróca już na swe dawne „dominujące” stanowisko, bo poprostu nie będzie dla nich miejsca i nikt ich ich już nie znieśnie.

Nowoczesna zasada wyznawana przez Niemcy, aby już w czasie działań wojennych organizować świat, zgodnie z zamierzonymi celami wojny, powoduje powstanie licznych „paneuropejskich” organizacji kulturalnych pod niemiecką egidą. Jedną z nowych takich instytucji jest „Europejski Związek Pisarzy”. Forma jego przypomina dawne „pen kluby”, idee przewodnie są niezawodnie inne. Wśród wcale licznych członków nowej organizacji spotykamy jednakże znane od wielu lat i nawet firmowe nazwiska dawnych matadorów z pod znaku P.E.N. Z czego wniosek: albo ci panowie nie biorą na serio nowej Europy, albo siebie. I na odwrót: albo nowa Europa nie bierze na serio siebie, albo ich. Bo przecież trudno przypuszczać, aby młodzi pisarze niemieccy, prowadzący prym na kongresach i zjazdach ludził się, iż przekonają i przerobią starych wygów. Jeżeli się ich mimo tego zaprasza, fetuje i reklamuje — to pozór nowej Europy stanowi widocznie dla Niemiec większe znaczenie, niż jej treść.

## CZASY POGARDY

Ponura zbrodnia w Katyniu każe nam raz jeszcze zastanowić się nad dziwnym obliczem naszych czasów. „Mniejsza”, że kilka tysięcy niewinnych ludzi skazano na śmierć bez sądu, wyroku i przygotowania do śmierci. Ważniejsze, że zamordowano oszczędnym, racjonalnym; my, ludzie ze skrupułami, powiedzielibyśmy „nikczemnym”, strzałem w tył głowy. Najważniejsze, że egzekucji dokonali nie zawodowi oprawcy, ale „idealisci”, ludzie wysoko zaufani w partji, która stoi na czele narodu, ludzie szczególnych zalet charakteru, którzy umieją mordować i milczeć, pozatym zaś być normalnym, być może nawet wzorowym towarzyszem i obywatelem.

Nie są oni rzecz przy specjalnością rosyjską. Niemcy hitlerowskie pozazaly nam też całą armię idealistów - oprawców, zdolnych wykonać bez trudu i zniechęcenia powiek tysie wyroków, ile wytrzyma lu



rewolweru.

Walka totalna, jak wiadomo opiera się na nienawiści wroga: Aby być w porządku z nienawiścią, trzeba wrogiem pogardzać. Nienawiść ułatwia bowiem zabójstwo, pogarda zwalnia od wyrzutów sumienia. Nienawidzony i pogardzany wróg nie jest wart więcej od jednej kuli i nie zasługuje na żaden ceremoniał przedśmiertelny i pośmiertny. Logikę taką, choć wstrętną, jesteśmy jeszcze w stanie pojąć. Kłopotliwym będzie rozważanie, co się dzieje z pogardą dla własnych ludzi, którym powierza się odpowiedzialne funkcje mordercze? Czy jej niema?.. musi być! Inaczej na czele dzisiejszych państw totalnych staliby ci, którzy mają najwięcej trupów na rozkładzie. A nawet naczelnicy N.K.W.D. i Gestapo nie parają się czynnym morderstwem. Może gdzieś, kiedyś, raz i drugi, na początku kariery.. Czy wreszcie mordercy — idealisci nie czują pogardy dla słabszych i bardziej „miękkich” od siebie i czy w końcu, gdy jednak ich minie „zasłużona” nagroda, nie zadławi ich pogarda dla samych siebie? Samobójczość systemu, który przez uświadomienie i wychowanie prowadzi do morderstwa polega na tym, że po morderstwie nie ma już żadnego dalszego kroku, ni wstecz ani naprzód.

## ANEGDOTA COPERNIKANA

Niemcy, rzecz oczywista, nie omieszkali wykorzystać czterechsetnej rocznicy śmierci Kopernika, by zamahifestować jakim „urdeutsch” Niemcem był ów Kopernik o „urdeutschit” niemieckim nazwisku (na — eraik, jak „sernik” czy „powiernik”), ale jakie to przewagi kulturalne posiadali „im deutschen Osten” w one Kopernikowe czasy. Nie mogli się tylko pogodzić jak to było czy wogóle nie było w Polsce nic prócz Niemców, czy też owszem, byli tu i Polacy, ale Niemcy stali od nich na nieporównanie wyższym poziomie? Jedno z pism niemieckich udowodniło, że „im Osten” była tylko kultura niemiecka i żadnej innej nie było, i że więc Kopernik mógł być tylko Niemcem jako człowiek i uczonej. Zapatrywanie to znakomicie odpowiadało p. Frankowi, który w tym też mniej więcej sensie się wypowiedział. Ależ oto w frankowym organie przybocznym wyczytaliśmy nagle, że Kopernik będąc uczniem uniwersytetu krakowskiego odrzucał te zapatrywania astronomiczne, jakie głoszono w Krakowie i przychylał się raczej ku doktrynom niemieckim. Jakże to więc? „Im Osten” nie było nic, czy też była tylko kultura niemiecka, a równocześnie Kopernik przeciwstawiał się zapatrywaniom polskich uczonych krakowskich? Coś tu nie w porządku. Albo, albo. Albo była polska astronomia i Kopernik odrzucał jej poglądy, albo jej nie było, ale dlaczego wówczas Kopernik występował przeciwko poglądom krakowskich uczonych, przechylając się ku poglądom niemieckim? No, ale w takie subtelności pro, agenda p. Goebelsa się nie bawi.

My natomiast z przyjemnością stwierdzić musimy, że ogromne obchody kopernikańskie, obecnie urządzone głównie w Ameryce, i w całym zresztą świecie, lepiej ugruntują wszystkich w tym, jakim luminarem był Kopernik, polskim czy niemieckim, niż sto lat polskiej propagandy. Bo że niemieckie uczonego świat dziś takby nie czcił, jak go czci, to pewne. I wynik tego już przy nas na wieki pozostanie.

Skromny kwiatuś kopernikański znaleźliśmy w Neue J.Z, Nr. 18 z 18 maja 1943. Pod reprodukcją znaczka kopernikańskiego, wydanego przez Deutsche Post, znajdujemy mały atykułek, nie odznaczający się ścisłością, a zakończony następującym zdaniem: „znaczek pocztowy (reprodukowany) z podobizną Kopernika pochodzi z serii przedstawiającej wielkich Niemców z G.G.”. Jakże to? Toruń czy Warmia należą do G.G.? A może G.G. było już za czasów Kopernika, o czym myślny dotychczas nie wiedzieli? A może, może... autor artykułu przewidywał także rozrost „G.G.”, że nietylko Toruń ale i Warmię zaliczył do G.G. — w przyszłości? Z tym ostatnim, z pewnymi drobnymi zresztą zastrzeżeniami, i mybysmy się zgodzili.

## KOPERNIK I BOLSZEWICY

Jakoś głucho o tym, by Bolszewia zainteresowała się rocznicą Kopernikańską. Zapewne, ma myśleć o czym innym, kto wie jednak czy nie głębsze są tego przyczyny. Przedewszystkiem astronomia nie może być poważną w Bolszewii dyscypliną, jako że niezmiernie trudno zastosować klasowy punkt widzenia do słońca, księżyca, nie mówiąc o Orionie czy gwiazdach pozagalaktycznych. Bolszewicy wogóle nie są zwolennikami „abstrakcyjnej” nauki i wiadomo, jak się zżymają np. na współczesną fizykę jako „idealistyczną”, holdując najprymitywniejszemu w świecie materializmowi z czasów króla Cwiczecka. W świetle tego bolszewickiego „realizmu” kto wie, czy nawet Kopernikańska teoria nie wydaje się czymś zbyt „idealistycznym”, gdyż „świadeństwo oczu” dowodzi przecie, że słońce wędruje po niebie, a nie ziemia się obraca. Kto to widział? Pewną zmarła niedawno babcia była dokonca, zycia tego samego mniemania.

A może uczcić Kopernika przeszkadzają bolszewikom względy — polityczne? Mniejsza już, że był księdzem, co dobrze o nim nie świadczy. Ale także aktualna sytuacja polityczna dziwnie komplikuje sprawę. Uczcić go jako Niemca — co z wiadomych przyczyn najchętniejby zrobili — to jakoś z pewnych względów (Ameryka, Anglia) jakoś „ni przicom”. Uczcić go znów jako Polaka, wienczas, kiedy ambasador Romer opuszcza Kujbyszew i wogóle na Polaków „huzia!”, to także jakoś nieprzyjemnie. To oddanie hołdu kulturze polskiej, co byłoby w tej chwili — i wogóle — bardzo, powiedzmy, niewłaściwe. Najlepiej więc milczeć. Milczą więc o Koperniku władcy szóstej części świata, bo są i „realisci”, no i — politycy. A tymczasem „e pur si muove”, i to nietylko ziemia. Nie tylko ziemia!

## ETYKIETA

Podczas nalotu na Warszawę w dniu 13 maja zrzućli bombowce sowieckie prócz morderczego ładunku bomb, także i ulotki, zwrócone do polskiej ludności. Treść ich miała zapewne zwrócić uwagę warszawiaków na wielkie wydarzenia w polityce polsko-sowieckiej, wobec czego zwalenie kilkunastu domów i wysłanie na tamten świat kilku setek ludzi było, bądź co bądź, wydarzeniem mizernej wagi. Czy ulotki pogłębiły zaufanie, jakie żywią



polacy do swego wschodniego opiekuna, wątpić należy. W każdym razie stanowiły pewien etykietałny gości, a to jest nowość w rubasznych manierach sowieckich. Na tym nie koniec jednak z etykieta. Treścią ulotek była odpowiedź, dana przez Stalina amerykańskiemu dziennikarzowi na temat, czy zamierza uznać Państwo Polskie po wojnie. Odpowiedź brzmiąca, że owszem, owszem, zamierzam. List jest cytowany dosłownie i podpisany: Z poważaniem Józef Stalin.

Pomijamy śmieszność cytowania nam korespondencji z dziennikarzem amerykańskim, jako aktu politycznego w chwili, gdy rząd sowiecki zrywa stosunki z naszym własnym rządem. Śmieszniejsze jest owo „z poważaniem” rzucone nam na głowy razem z ładunkiem bomb. Jesteśmy jakoby bardzo etykietałnym narodem, ale jednak w tym wypadku wolelibyśmy aby J. Stalin użył zwykłego swego języka i napisał prosto: Towarzysze! Miejsce Polski jest przy boku Z.S.R.R. Z waszym rządem zerwałem, bo chcę na jego miejscu postawić inny. Bombardujemy was, jak umiemy, bo walczymy z Niemcami. Oficerów waszych kazałem wystrzelać jako wrogów proletariatu i nikt mnie nie śmie za to pociągać do odpowiedzialności.

Jeżeli by wiele nie wskózał — w każdym razie przyjęlibyśmy akt tego rodzaju „z poważaniem”.

#### COVENTRISIERN

DNB ogłosiło niedawno temu rzeczywiście straszną listę strat kulturalnych, jakie poniosły Niemcy w skutek ostatnich bombardowań. Istotnie, mnóstwo świetnych pomników tysiącletniej i starszej jeszcze cywilizacji zniknęło z powierzchni ziemi. Do tej sprawy, bynajmniej nie tak błachej, wrócimy jeszcze. Tu poruszymy tylko coś, co aż nazbyt jest nam znane, ale co mimo to poruszyć należy. Któż to rozpoczął dżyngischańskie niszczenie pomników kultury? Czy przypadkowo nie Niem-

cy? Któż to spalił z czystej tylko złośliwości królewski zamek warszawski, potem wyniszczył i wy-rabował wszystko, co jeszcze pozostało (nawet stare posiadki wyrzywały zbiry niemieckie), by w końcu kazać robić w murach zamku warszawskiego zagłębienia na miny celem wysadzenia go w powietrze jak niedawno synagogę na Tiomackim? Tylko za sprawą jakiejś tajemniczej interwencji nie dokonano tego ostatecznego zniszczenia nawet ruin. Któż to polował np. na teatry warszawskie jak nie lotnicy niemieccy w czasie oblężenia Warszawy? Jeden z nich przyszedł potem do Teatru Polskiego, by oglądać swe dzieło, i był zdumiony, że mimo wielu jego bomb, zrzuconych na teatr ten widocznie po . . . bolszewicku, teatr jeszcze stoi. Któż to wywiózł wszystko co cenniejsze z muzeum warszawskiego „dla zabezpieczenia”, aby np. wszystkie bezcenne szkła polskie poszły w szczyrbę? A przecież to wszystko zaledwie kropla w morzu niszcycielstwa jakie Niemcy wylali na Polskę. A pozatym, któżto wymyślił termin „coventrisieren”, czym się swego czasu tak gazety niemieckie chełpiły? Kto to bombardował katedrę Coventry, w Norwich, w canterbury, bezcenną bitki w tyłu innych miejscach Anglii, bez żadnej potrzeby militarnej, tylko z samej piekielnej złości? A teraz Niemcy biadają i proszą innych, by biadali na to, że im samoloty angielskie niszczą ich dobytek kulturalny, starą architekturę, biblioteki, galerie itd.

Niemcy oczywiście nie liczyli, by przyszła „kryśka na Matyska”. Powiedział przecież kiedyś Hitler: „kazałem Goeringowi stworzyć taką flotę powietrzną, by żaden samolot nieprzyjacielski nie pojawił się nad rzeszą”. Ale pojawił się i to nie jeden. Przyszła wreszcie kryśka. Możeby teraz piękny i o umiłowaniu zabytków świadczący termin niemiecki „coventrisieren” zmienić na „kollabisieren” albo „bremisieren” albo na jaki inny? Wybór jest duży.

#### CO ZROBIŁEŚ DLA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI?

Jeżeli nie możesz jak inni pracować i walczyć dla przyszłości naszej Ojczyzny to przynajmniej daninę na Fundusz Konsolidacji Narodowej Obozu Polski Walczącej!







711  
428  

---

1943

